



32 STRONY

**ziemia**

• ROK II • NR 10(12) • PAŹDZIERNIK 1957 • 5 ZŁ •

przedstawia parę młodych krajoznawców na jesiennej wycieczce. O tym jak trzeba się na łoką okazać ubrać piszemy na stronie 30.  
Pol. Wojciech Plewiński



#### PRENUMERATA W KRAJU

Prenumeratę na I kwartał 1958 (I następnej) przyjmują placówki pocztowe, listonosze, centrala „Ruchu” w Warszawie, Szabna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100 024) oraz Oddziały „Ruchu” w W-wie, w miastach wojewódzkich i powiatowych — od 15 listopada DO 15 GRUDNIA

Państwowe Wydawnictwa Naukowe, W-wa, Krakowska Przedm. 79 przyjmuje wpłaty DO 25 KAZDEGO MIESIĄCA na miesiąc następujący: dalsze. Konto PKO dla wpłat 1-6-100 214. Cena prenumeraty (zarówno „Ruchu” jak i PWN) kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

#### PRENUMERATA ZE ZLECENIEM WYSYŁKI ZA GRANICĄ

Czytelnicy posiadający krewnych i znajomych za granicą mogą zaprenumerować nasze pismo ze zleceniem wysyłki za granicę w PKWZ „Rach”, W-wa, ul. Wilcza 45, nr konta PKO 1-6-100 024. Cena tej prenumeraty — kwartalnie 21 zł, półrocznie 42 zł, rocznie 84 zł.

#### POPRIEDNIE NUMERY ZIEMI

Numer z roku 1957 — matnia nabywać we „Wzorcowni” Państw. Wyd. Naukowe w Warszawie, Miodowa 10, lub zamawiać listownie pod tym samym adresem. Numery 1 i 2 z roku 1956 nabywać matnia w sklepach antykwarycznych „Ruchu” w Warszawie, przy ul. Wilejskiej 14 i Polawskiej 108, oraz zamawiać listownie w centrali „Ruchu” w W-wie, Szabna 12. Dział Sprzedaży Pras Antykwarycznej.

#### ZA GRANICĄ

zamawiać można ZIEMIĘ na 15 dni przed datą prenumeraty wpłacając odpowiednią sumę na konto 2-38-51 Narodowy Bank Polski, Warszawa, Traugutta 7, dla CHZ „Arz Polona”, zaznaczając wyraźnie: „wpłata na prenumeratę ZIEMI” i podając dokładny adres, na który pismo ma być wysyłane.

Cena ZIEMI: w St. Zjednoczonych AP — dol. 0,35, rocznie 4,20; w Wielkiej Brytanii £ 0,23, rocznie 1,89; we Francji — Fr. 105, rocznie 1300, w Niem. Republice Federalnej — DM 1,30, rocznie 19,20; w Australii — LA 0,27, rocznie 1,10.7. Ceny egzemplarzy archiwalnych jest wyższe o 10%.

Zamówienia na ZIEMIĘ można także składać m. in. w następujących księgarniach: ZSR — w „miejstach i górkach Otdziałach Sojuzpoczty”; NRD — Zeitungsvertriebsamt II C, Berlin NW, Clara Zetkin str. 62; Czechosłowacja — 1) Melanirich, Aht. 1. Aust. Presse, Praha XVI, V. Huga 4. 2) PZKO Knihkupectví Karlova II/Doly tr. Cslow. Armady, 3) PZKO C. Tešín Gottvaldova 15; Anglia — Cracavia Book Company, 58 Pombrake Rd. London W 8; Australia — 1) Current Book Distributors, 40, Market Street Sydney, New South Wales, 2) Gordon & Gotch (A) Asia Ltd. Melbourne, Israel — 1) „Sifriat Poalim” Warkars Book-Guild (Hasomer Hatzair) Ltd. Tel-Aviv, 73 Allenby St. P.O.B. 526. 2) „Hullepac”, Hella, Arlosarav St. 11 Nardan St. 15 P.O.B. 1794. 3) „Lepac”, Tel-Aviv, P.O.B. 1136; Kanada — Syrena Book and Travel Agency 2 P. 94 A Dundas Street, W. Toronto 3, Ontario; Francja — 1) Le Livre Polonaie an France, Parie VIII-ème, 29 bis, rue Jean Goujon, 2) Agence Litteraire at Artidique Parisienne, 7, rue Debelleye, Parie III-e; USA — Dolphin Service, 441 Bellevue Drive, Felle Church 1, Virginia.

**ziemia**

— Ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, organ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZEGO. Przewodniczący komitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, zast. red. nac. — JANUSZ GRZYBOWSKI, cokr. red. — MACIEJ KUCZYŃSKI, red. działu — MARIAN KORNECKI i LESZEK DZIEGIEL, układ graficzny — ZBIGNIEWA ŁAOCKIEGO. Adres redakcji: Kraków, Basztowa 6. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE. Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, tel. 595-78. Nakład 18.005. Zam. 569/57. M.13. DRUKARNIA NA-RODOWA W KRAKOWIE

# RENEZANSOWE PAŁACE NA ŚLĄSKU

TADEUSZ CHRZANOWSKI

W roku 1955 i 1956 byłem częstym gościem na Śląsku. Zbierałem tam materiał fotograficzny do obszernej monografii zamków śląskich, opracowanej przez prof. B. Guérquina, a mającej się ukazać nakładem wydawnictwa „Budownictwo i Architektura”. Odebrałem w sumie cztery wyprawy, a ich bilans to: 5800 km na motocyklu, a ponadto kilkaset pociągów, 84 „obfotografowane” obiekty, a w końcowym rezultacie około 2000 negatywów.

Do albumu weszło około 80% a. Reszta obiektów odpadła z tego najczęściej względu, że reprezentuje zbyt mało cech obronnych, że zalicza się już do architektury pałacowej, nie zaś do kategorii zamków „sensu stricto”. Ponieważ jednak w tej właśnie grupie znajduje się szereg zabytków stosunkowo mało znanych, prawie nigdzie nie reprodukowanych, chciałbym się więc zająć kilkoma przedstawicielami owego śląskiego renesansu, który wciąż jeszcze stanowi termin niezbyt jasny, nie dostatecznie określony w historii sztuki. Jest jeszcze inna przyczyna: zabytki o których chcę mówić znajdują się bez wyjątku w bardzo złym stanie.

Oczywiście nie są to przykłady największej dewastacji i opuszczenia. Spośród obiektów, które wejda do albumu przynajmniej połowa znajduje się w równie opłakanym stanie. Ale cóż: zamki to na naszym terenie pojęcie związane nierozdzielnie z obrazem ruin i opuszczenia. Daleko nam do tego rodzaju zespołów jak np. zamki nad Łorą, z których każdy jest „małym” muzeum. Niestety spośród tych obiektów, które wojnę przetrwały niezniszczone,

zamieszkałe, zabezpieczone, większość przedstawia się dziś jako straszliwe rudery. Przykłady? O ogromnym Książu pod Wałbrzyschem pisano już wiele. Nie chcę się powtarzać. Gotycko-renaesansowy zameczek wodny w Wojnowicach koło Wrocławia jest opuszczony, zrujnowany, skazany na zagładę, o ile się go natychmiast nie zabezpieczy. Wojnowice to zupełnie wyjątkowy na naszym terenie obiekt, zarówno jeśli idzie o kształt architektoniczny, jak i stan zachowania w niemal niezmiennym, pierwotnej formie. Niczym ciekawym, na rzucie owalnym założony zamek w Owiesnie pod Dzierżoniowem — stan jak Wojnowice. Uras pod Wrocławiem niekiedy w r. 1945, dziś prezentuje się jak ruiny po silnym bombardowaniu. Prochowice pod Legnicą w najbliższym czasie podzieli los Urasu. Witosławice pod Henrykowem, mimo że użytkowane i zamieszkałe, pozostawiają wiele do życzenia pod względem stanu zachowania. Obie wice mieszkalne w Rakowicach Wielkich pod Lwówkiem w stanie opłakanym. Świczawa niezamieszkała i zagrożona ruiną. Grodziec Piastowski — ponury obraz doszczętniej dewastacji istniejącego tam niegdyś muzeum. Biestryków pod Wrocławiem wypalony i groźny zawałeniem. Zameczek w Leśnicy pod Wrocławiem wypalony i niezabezpieczony. Zamek w Olawie wypalony — o odbudowie oczywiście nikt nie myśli nawet. Głogów oczywiście też spalony. Kamienna Góra...

O Kamiennnej Górze chciałbym nieco szerzej. Zasadniczo zamek nie leży w obrębie miasta i niegdyś stanowił osobną miejscowość (po niemiecku Kreppe-

hoff). Jest to wyjątkowej, nawet jak na Śląsk, klasy dzieło renesansu. Jakkolwiek pałac odnowiony został dość nieszczęśliwie w XIX w. (nadbudowa wieży) to jednak zarówno swą formą, jak i ogromnym bogactwem architektonicznego wystroju wysuwa się na czoło tego rodzaju zabytków (np. Gorzanów i Plakowice — o których niżej). Do zamku — pałacu prowadzi brama zwieńczona fantazyjnym, typowym dla północnego renesansu szczytem, zała kipiasta od rzeźb. Szeroko założony (przekształcony podczas czesłoroocznej przebudowy) portal wejściowy prowadzi na dziedzińce niegdyś arkadowy. Jednakże przejście od bramy do zamku to nielada problem: PGR, który włada pałacem, urządził bowiem w jego otoczeniu, a nawet w nim samym — w sieni i na dziedzińcu — wygon dla krów. Wokół pałacu rozpościera się więc błotnista topiel, mieszana co dzień przez dziesiątki racic. Gdy oglądać pałac z zewnątrz, stan jego nie wydaje się jeszcze tak rozpaczliwy, choć okna o subtelnie kutych obramieniach zięją pustką, pozbawione sryb i futryn. Cały jednak ogrom dewastacji ujawnia się dopiero wewnątrz: już dziedzińce zarośnięty chwastami i zasłany osypującymi się tynkami robi ponure wrażenie. Sala partecy zasypane gruzem (w tym kilka sal sklepianych na pojedynczych słupach). Najstraszliwiej przedstawia się piętro, gdzie nie tylko nie ma już drzwi czy okien, lecz nawet podłogi i stropy są pozrywane. Skacząc z belki na belkę z narażeniem życia, oglądałem wyjątkowo piękne portale, ocalałe w tych zrujnowanych pomieszczeniach.





Z prawej: dziedziniec pałacu w Gorzanowie. Olbrzymi ten budynek jest prawie pusty. Tylko w bocznych skrzydłach mieszka kilku pracowników PGR-u.

Poniżej: fragment sztucznej grotty w gorzanowskim parku. No zdjęciu widoczne zniszczone rzeźby barokowe. No stronie sąsiedniej: pałac w Gorzanowie. No pierwszym planie czworobok budynków gospodarczych.



Obok: kołotka z brzozy pałacu w Góli koło Niemczy. Wszystkie zdjęcia Tadeusza Chrzanowskiego.



Powyżej: pałac w Gorzanowie wg. stalorytu T. Blatterbouera z połowy XIX wieku. Poniżej: jeden z portali zdemastowanego pałacu w Kamiennej Górze. No pałacowym dziedzińcu PGR urządził wygon dlo krów.



Wśród brudu i gruzu radośnie groteski psą się po ościeżach, a w belkowaniach syreny, pegazy, mitologiczni bogowie i monstra średniowieczne zachwycają i rozśmieszają równocześnie. Daty na tych portalach wskazują na lata 70-te i 80-te XVI w., jako na czas powstania pałacu. Luttach (Verzeichniss der Kunstdenkmäler in Schlesien) wspomina, że znajdowały się tu — nie mówiąc już o meblach i innych ruchomościach — takie witraże z epoki renesansu i gotyku. Dziś oczywiście tylko niebo przegląda się w oknach, a na trzaskawisku, które było niegdyś trawnikiem, apatyczne krowy przejuwają monotonicznie pastwiskowe przysnaki.

Przejdźmy jednak do tematu właściwego, do obiektów, które chciałbym najkrócej scharakteryzować. Równie przygnębiające i oburzające sąrazem wrześnie co Kamienna Góra, srobił na mnie stan słynnego pałacu w Gorzanowie. Piszę słynnego, gdyż o Gorzanowie pisano, a przynajmniej reprodukowano go często. Położony w bardzo malowniczej okolicy, w pobliżu Bystrzycy Kłodzkiej, panuje nad otoczeniem swą wyniosłą sylwetą. Miejscowość wzmiankowana w r. 1341 istniała z pewnością wcześniej i niemal od początku stanowiła własność Herbersteinów, jednego z najmłodszych rodów śląskich. Pierwotnie istniał tu samek, którego ślady widoczne były w początku ubiegłego wieku w pobliżu kościoła. Obecny pałac wzniesiony został zapewne w latach 60-tych XVI w. Około połowy XVII w. uległ pewnym przemianom — dotyczyło to jednak raczej wystroju wnętrza (kaplica). W tym samym czasie (1637—40) powstała w parku sztuczna grotta — pawilon, wyjątkowe dzieło baroku. W latach 1737—8 nastąpiła dość znaczna przebudowa i odnowienie, które jednak nie zatępiło pierwotnego, renesansowego charakteru budowli.

Na zespół pałacowy, usytuowany na krawędzi płaskowyżu, składa się swarty czworobok budynków: obok korpusu głównego i jego skrzydeł zamykających się wokół dziedzińca, znajdują się tu również budynki gospodarskie, grupowane wokół dziedzińców zewnętrznych. Jest to zresztą cechą częstą wśród szlacheckich, że pałace nie są wyizolowane a obejmują gospodarskiego, lecz łączą się z nim bezpośrednio: a jednej strony taki pałac opiera się o założenie parkowe, a drugiej graniczy niemal z oborami i stajniami. W Gorzanowie, co więcej, nastąpiło poprostu zespolenie tych wszystkich zabudowań.

Główny budynek, dwupiętrowy, o prostych lecz szlachetnych proporcjach, zwieńczony szczytami i nakryty wielkim siodłowym dachem posiada na osi elewacji, od strony dziedzińca wyniosłą wieżę, nakrytą barokowym hełmem. Dość prosty i surowy od strony parku, cały przepych i ozdobność prezentuje od strony dziedzińca: sgraffita, attyki, gzymasy lunetowe, dwubiegowe schody, obramienia okien — wszystko to składa się na wyjątkowo piękną całość. Niestety: olbrzymi ten budynek stoi pusty, gdzieś tam tylko w bocznych skrzydłach mieszkają pracownicy PGR-u. Na dziedzińcu stoi stóg siana i biegają kury i prosięta. W salach recepcyjnych pustka i zacieki. W skrzydłach bocznych częściowo posywanę polichromowane stropy, wystrój kaplicy, stiuki i ołtarze porzucane. W pustych amfiladach śmierdzi grzybem i opuszczeniem... Wspaniała rezydencja aż prosi się, by wykorzystać ją jako dom wypoczynkowy, szpital lub sanatorium.

W parku odnajdziemy wzmiankowaną już grotę — pawilon. W jej wnętrzu aż kipi od stiukowej, barokowej feerii. W kopule tłoczą się putta i kaskady roślinne, ale w niszach wejść — tam gdzie łatwo sięgnąć — mitologiczne bóstwa są już tylko kadłubami bez głów i bez kończyn.

W pobliżu Gorzanowa, właściwie w samej miejscowości znajdował się drugi niewielki renesansowy pałacyk, wzniesiony niemal równocześnie z główną rezydencją (1573), a swany Ratschenhof. Niestety spłonął w czasie wojny i dziś stoją tylko puste ściany tego wyjątkowo pięknego dzięki bogactwu sgraffitowej dekoracji budynku.

DALSZY CIĄG NASZAPAI

# KARPACKIE LASY

STEFAN MYCZKOWSKI

Wojciech Piewliński

Wśród trzech odrębnych obszarów górskich naszego kraju: Karpat, Sudetów oraz Gór Świętokrzyskich, leśne tereny karpackie zajmują najważniejsze miejsce z punktu widzenia gospodarki narodowej. Fakt ten jest oczywisty pomimo, że szata leśna Karpat uległa w ubiegłych stuleciach daleko idącym zmianom, spowodowanym nieprzemyślaną gospodarką.

**P**ierwszym etapem przemian w puszczy karpackiej był rozwój osadnictwa. Od północy wzdłuż dolin i przełomów rzek wkraczało osadnictwo rolnicze, opalowujące coraz wyżej położone i trudniej dostępne obszary i zamieniające je na pola uprawne. Równocześnie ze wschodu, a częściowo z południa napływały gromady pasterzy. Postępując wzdłuż grzbietów pasm karpackich zajmowali oni pod wypas i wylesiali przede wszystkim grzbietowe i przygrzbietowe partie gór. Działalność obu kierunków osadnictwa, przy wzmagającej się stale — w miarę postępu techniki — eksploatacji drzewostanu oraz powszechnym i szablonowym zalesianiu świerkiem w XIX wieku, złożyły się na obraz współczesnej szaty leśnej Karpat.

W chwili obecnej pomimo wielkiego zniszczenia naturalnych lasów karpackich możemy jeszcze odtworzyć obraz pierwotnej puszczy dzięki zachowanym resztkom naturalnych zespołów leśnych. Znajdujemy je przede wszystkim w górskich parkach narodowych i rezerwach przyrody. Podstawy teoretyczne dla odtworzenia obrazu dawnej, pierwotnej puszczy karpackiej daje nam ekologia, nauka zajmująca się badaniem warunków rozwoju lasu. Studia nad tym zagadnieniem oprócz znaczenia naukowego przedstawiają również wartość dla praktycznego leśnictwa, pozwalając bowiem na przeprowadzenie tzw. przyrodniczego podziału Karpat.

W Karpatach podobnie jak i w innych obszarach górskich warunki

życiowe lasu różnicują się w kierunku poziomym (geograficznie) oraz w kierunku pionowym (wysokościowo). Pierwsze z tych kryteriów uzależnia podział Karpat na jednostki terytorialne: Tatry, Pieniny, Kotlinę Nowotarską, Beskidy (Zachodni i Wschodni) oraz Pogórze Karpackie. Te duże, odrębne części dzielimy na szereg drobniejszych jednostek przyrodniczych. W ramach podziału wysokościowego wyodrębniają się tzw. piętra roślinne, powtarzające się na zbliżonych wysokościach w poszczególnych jednostkach terytorialnych. Mamy tu więc do czynienia z piętrami pogórza oraz piętrami regla dolnego i regla górnego, charakteryzującymi się występowaniem odmiennych zespołów leśnych, w chwili obecnej bardzo zresztą zniekształconymi.

Jedną z wybitnych cech ukształtowania pasm karpackich w Polsce jest wyraźne i często ostro zaznaczone w terenie przejście od obszaru o cechach pogórskich, do tzw. poziomu górskiego. Piętro pogórza nie jest przyrodniczo jednolite. Dzieli się ono mianowicie na dwie strefy wysokościowe: niższą (tzw. pogórza lessowego) oraz wyższą (tzw. pogórza filisowego). Również przy przechodzeniu w głąb dolin karpackich przez piętro leśne pogórza, napotykamy na wyraźną zmienność siedlisk leśnych.

W szerokim pasie Pogórza, przebiegającym u stóp Karpat od tzw. „progu karpackiego” na północy aż do podnóża Beskidów, oraz w zasięgu głęboko ku południowi wciętych w Karpaty języków pogórskie-

go piętra leśnego, daje się powszechnie obserwować zjawisko przejściowości siedlisk leśnych od niżu do obszarów górskich. W chwili obecnej około 80% obszaru Pogórza zajętego pod uprawy rolnicze pozbawione jest drzewostanu; mimo to można jeszcze z zupełną pewnością stwierdzić wspomniany przejściowy charakter lasów tego piętra roślinnego. Występują tu jeszcze, wprawdzie rzadko, górskie drzewostany bukowo-jodłowe, zaś obok nich drzewostany sosnowe, lub dąbrowy z grabem i dąbrowy z sosną, których główną domeną w Polsce są obszary niżowe, a które w karpackim piętrze pogórza osiągały górną granicę swego występowania w Polsce. Pogórze karpackie pomimo przejściowych warunków przyrodniczych („niżowo-górskich”) zaliczamy do Karpat ze względu na występowanie tu zespołów i gatunków roślin o charakterze wybitnie górskim, nie spotykanych w niżowych obszarach Polski.

Z leśno-gospodarczego punktu widzenia najważniejszym piętrzem leśnym Karpat jest regiel dolny, obejmujący około 70% obecnej powierzchni leśnej. Występują tu lasy bukowo-jodłowe z domieszką świerka, jaworu, jesionu i wiązu górskiego. Obecnie znane są nam dwa zbiorowe typy siedliskowe buczyn dolnoregiovych: a) buczyna karpacka z lokalną przewagą buka lub jodły, a często z domieszką bardziej „wymagających” gatunków (jaworu, jesionu i in.) oraz b) buczyna kwaśna zajmująca w porównaniu z poprzednią uboższe siedliska regla dolnego

(m. i. grzbiety), a odznaczająca się zwykle dużą domieszką świerka. Ponadto występują z natury w reglu dolnym czyste świerkowe rodzime drzewostany, związane m. in. z kwaśnym i ubogim podłożem. Grab i dąb w reglu dolnym z natury już nie występują.

Przy ogólnym omawianiu lasów regla dolnego trudno pominąć fakt, że obecnie miejsca dawnych buczyn, jędrów i świerczyn zajęte sztucznie wprowadzone przez człowieka nie rodzime drzewostany świerkowe. Porastają one obecnie około 80% nieodpowiadających im siedlisk bukowo-jodłowych, z wielką stratą dla naszej gospodarki narodowej. Wprowadzenie tu rodzimych gatunków drzew jest jednym z najważniejszych zadań, stojących obecnie przed leśnictwem polskim.

Ostatnie, najwyższe piętro leśne Karpat nazywamy reglem górnym. W odróżnieniu od szeroko rozprzestrzenionych w naszych Karpatach siedlisk leśnych pogórza i regla dolnego, właściwy regiel górny występuje wyspowo w większych lub mniejszych płatach w postaci skóńskie ku północy nasadzonej „czap” na równoleżnikowo przebiegających pasmach karpackich. W górnym reglu polskich Karpat przeważają zdecydowanie stoki północne, co z kolei wiąże się ze znaczną trwałością zalegania śniegu w omawianym piętrze leśnym i uderzającym skróceniem okresu wegetacji roślinnej. W tych warunkach nie może się już rozwijać drzewostan mieszany i świerk uzyskuje bezwzględną przewagę.

Najpiękniej wykształcone świerkowe zespoły leśne reglu górnego występują u nas w Tatrach, ponadto zaś w Beskidzie Wysokim na Pilsku i Babiej Górze, w Gorcach na Radziejowej i w małych fragmentach na innych obszarach Karpat. Jedynie w Tatrach oraz w Beskidzie Wysokim las górnoreglowy tworzy tzw. górną granicę lasu, powyżej której rozprzestrzeniają się łany kosodrzewiny. W Tatrach górna granica lasu jest szczególnie pięknym i interesującym zjawiskiem. W większości obszaru występują tu — oprócz świerków — luźne lasy z limbą i jarząbem. Są to nierzadko skrawki pierwotnych, niepokutych ręką ludzką zespołów leśnych, w których niejednokrotnie możemy spotkać niedźwiedzia, rysia oraz inne wyparte już prawie przez człowieka z Karpat gatunki zwierząt. Limba, której naturalne zespoły występują w Polsce tylko w Tatrach — jest drzewem ustawowo chronionym nie tylko z uwagi na swoją rzadkość, ale także i rolę, którą odgrywa w zabezpieczeniu górnej granicy lasów; zakorzenia się ona głęboko i bardzo silnie, utrwalając stoki górskie o wiele lepiej niż świerk.

Gospodarka leśna w reglu górnym zmierza przede wszystkim do utrwalenia drzewostanów. Las rozwija się tu w szczególnie trudnych warunkach siedliskowych i każdy, nawet nleduży błąd leśnika może wywołać klęskę. Świerk jako gatunek łatwo przystosowujący się do warunków otoczenia tworzy tu naturalne biogrupy oraz szpalery. Zespołone w nich drzewa tworzą małe, odrębne jednostki drzewostanu uodporniające las przeciwko śniego- i wiatrołomom. Ochrona takich naturalnych ugrupowań świerka powinna być jednym z najważniejszych zadań leśników gospodarujących w reglu górnym. Wobec ochronnego charakteru drzewostanów górnoreglowych, zagadnienie ich użytkowania powinno być przesunięte na dalszy plan. Muszą być one zachowane ze względu na groźbę erozji stromych stoków górskich i w interesie zachowania górnego zasięgu lasów karpackich.

Leśne środowisko przyrodnicze Karpat tak z natury, jak i w wyniku ingerencji człowieka w przyrodzie ulegają obecnie daleko idącym przemianom. Śledzenie tych zmian jest ważne i potrzebne dla racjonalnej gospodarki leśnej. Skale porównawczą dla tego rodzaju badań osłagamy jedynie przez obserwację naturalnych zespołów leśnych. Zespoły takie chronione w naszych karpackich parkach narodowych i rezerwach przyrody w poszczególnych jednostkach terytorialnych Karpat tworzą sieć naturalnych skrawków puszczy karpackiej. Spełniają one dla nauki ważną rolę „laboratoriów terenowych” dla prac eksperymentalnych. Zadaniem władz ochrony przyrody jest mądre zaplanowanie i uzupełnienie sieci lasów chronionych w Karpatach, tak aby odtworzyć zmienność geograficzną ich szaty leśnej. Do polskiej nauki leśnictwa zaś należy właściwe wykorzystanie karpackich lasów chronionych jako wzorcowych obiektów dla racjonalnej gospodarki leśnej w tych górach.



W Tatrach górna granica lasu jest szczególnie pięknym i interesującym zjawiskiem. Fot. Zbigniew Łagocki

Zespół świerczyny w tatrzańskim reglu górnym. Tu nie rozwija się drzewostan mieszany. Fot. S. Myczkowski



Niżowy zespół dębowo-grabowy w rez. Żaki w dolinie Wisły opodal „progu karpackiego”. Fot. S. Myczkowski





# DZIEJE ZAMAGURZA SPISKIEGO (DO POŁOWY XIX W.)



MARIAN GOTKIEWICZ

## DOKONCZENIE

Jak powiedzieliśmy, Polska utraciła dystrykt podoliniecki około r. 1313. Trzeba jednak podkreślić, że hiskupi krakowscy nie zrzekli się prawa jurysdykcji nad tym obszarem i procesowali się o nie z Kapitułą Spiską. W r. 1326 wyrok papieski przysądza im jurysdykcję na owym spornym — jak czytamy w wyroku — „pasie Sądeczyny”. Mimo to prepozyci spiscy aż do r. 1604 rozciągali swoją władzę nad tym obszarem.

W r. 1412 Zygmunt Luksemburski za pożyczoną od Władysława Jagielly sumę 37.000 kóp groszy praskich oddał Polsce w zastaw dystrykt podoliniecki z Podolińcem, Gniazdami i Lubowlą, jak również 13 miast spiskich, wydzielonych spośród autonomicznego związku 24 miast spiskich: Władysław Jagiello mógł pożyczyc tak wysoką — jak na owe czasy — sumę pieniężną, bo dostał ją jako kontrybucję od Krzyżaków po klęsce grunwaldzkiej. Sumy tej nigdy Polsce nie zwrócono, więc i zastaw pozostawał we władaniu Rzeczypospolitej niemal aż do pierwszego rozbioru. Zastawem tym nie zostało objętych 11 miast spiskich podlegających brabiemu spiskiemu, nie objęto nim także Zamagurza czyli tzw. Wielkiego Komitatu Spiskiego, na który składały się wsie klucza niedzickiego, majątki Czerwonego Klasztoru i różnych panów feudalnych.

Było to błędem ze strony Władysława Jagielly, że nie zażądał w r. 1412 od Zygmunta Luksemburskiego, skompromitowanego tajnym przymierzem z Krzyżakami, oddania Polsce w zastaw także Zamagurza, będącego przecież krainą zamieszkałą przez lud polski. Odtąd kraina ta miała stanowić enklawę węgierską w państwowym organizmie Polski przez nieprzerwany ciąg kilku stuleci. Ten sztuczny twór polityczny opierał się granicami o brzegi Białki i Dunajca i próbował nawet te brzegi przekroczyć. Taka granica państwowa poprowadzona w osł dolin górskich, tworzących naturalne arterie komunikacyjne musiała wpływać hamująco na rozwój gospodarczy tych dolin i rozluźniała więź kulturalną ludu zamagurskiego z jego polską ojczyzną. Graniczne spory o miedze, o strzępy ziemi, które Dunajec i Białka wskutek zmian koryta pozostawiały raz na lewym tożaw na prawym swym brzegu, zachęta ze strony Paloczayów, Horwathów, Stansitsów i innych panów do bezprawnego wypasania hal i użytkowania gruntów

przynależnych do Nowotarszczyzny bądź też do miast zastawionych Polsce — to wszystko mogło nawet przyczyniać się do wytwarzania lokalnych antagonizmów.

Na Zamagurzu istnieją dzisiaj 3 ruskie osady (łemkowskie), a mianowicie: Folwark (474 mieszk.), Wielki Lipnik (909 mieszk.) i połowa Dsiurni liczącej 1334 mieszkańców. Najstarszą z nich jest Wielki Lipnik, gdyż założyli go Górgayowie w XIV w. Łemkowie przysili jednak do niego, jak również do Frankowej dopiero w XV i XVI w. D ile jednak we Frankowej ulegli asymilacji w zetknięciu z polskimi autochtonami, to w Lipniku zachowali swą etniczną odrębność. Na Zamagurzu i Podhale sprowadziła ich fala osadnictwa wołoskiego, idąca ze wschodu. Rusko-wołoscy pasterze osiedlali się obok ludności polskiej w takich wsiach zamagurskich powstałych lub już istniejących w XVI w. jak: Łapsze Wyżne, Trybsz, Jurgów. Nazwy: Czarna Góra, Osturnia, Jeziersko, Zdzar, występujące w dokumentach z lat 1589-1595 nie odnoszą się jeszcze do wsi, ale do pastwisk, terenów ornych i innych użytków. Nie było wtedy jeszcze Łapszanki ani Rzepisk, ale w r. 1655 są one podobnie jak i Czarna Góra wsiami, bo ludność stamtąd przynosił chrzcicieli dzieci do parafialnego kościoła w Łapszach Wyżnych. Według P. Kurucy<sup>1</sup> Łapsze Wyżne miały być kiedyś wsią grecko-katolicką. Prepozyt spiski Jan Zsigray, stwierdzający w r. 1700 polskość wszystkich wizytowanych przez siebie wiosek na Zamagurzu podał, że w Łapszacz Wyżnych mieli niegdyś Rusini swą drewnianą cerkiew. Z metryk parafii rzymskokatolickiej wynika jednak, iż po reformacji w r. 1655 żyła tam ludność polska wyznania rzymskokatolickiego. Wieś miała więc cobyła ludność mieszaną obu wyznań, za czym przemawiały także miejscowe podania, mówiące o sporach między „Rusnakami” i Polakami.

Zamkiem i kluczem niedzickim zawładnął siłą w r. 1470 spiski żupan Emeryk Zapolya, dziadek polskiej królowej Barbary. Brat także Barbary, Jan Zapolya, hrabia spiski i wojewoda siedmiogrodzki wybrany został w r. 1526 królem węgierskim. W walce z Ferdynandem I pretendującym do korony węgierskiej uzyskał on pomoc Turków, co zawdzięczał dyplomacji Hieronima Łaskiego zwanego Jaro- szem, wojewody sieradzkiego i w nagrodę za to darował mu w r. 1528

żupanat spiski z Kierżmarkiem, Kychnąwą, Gelnicą i Niedzicą. Ale zamek niedzicki musiał Hieronim Łaski zdobyć siłą, bo siedział tam Stefan Poturnicki, stronnik Ferdynanda I. Kiedy zaś później Jarosz przeszedł na stronę cesarza, zamek niedzicki znówu był oblegany, tym razem przez Mikołaja Minkowicza. Jemu to poprzednio Jarosz zastawił Niedzicę za 6000 zł., a teraz nie chciał jej oddać jako stronnikowi Zapolyi. Minkowicz zamku nie zdobył, jego żołnierze spoczęli w dwóch wielkich mogiłach nad pobliskim potokiem, gdzie później wzniesiono dwie kaplice.

Po śmierci Hieronima Łaskiego dobra niedzickie przypadły jego synowi Dłbrachtowi, znanemu w Polsce awanturnikowi. Dłbracht trwoniący fortunę, sprzedał w r. 1589 cały klucz dunajcki Jerzemu Horwathowi Paloczayowi. Około r. 1601 nowy właściciel rozszerzył i upiększył zamek niedzicki. On także nadal renesansową postać kasztelowi we Frydmanie.

Jerzy Horwath dbał o powiększenie swych posiadłości. Najpierw kupił on w r. 1587 od Grzegorza Horwatha Stansicsa, właściciela Nowej Białej (Uj-Bela), terytorium między Białą a Leśnicą wraz z częścią Tatr w okolicy Morskiego Dka. Ale tego kontraktu nie mogła respektować strona polska, gdyż kupiony pas ziemi wówczas jeszcze był wprawdzie bezludny, jednak należał do starostwa nowotarskiego. Ówczesny starosta nowotarski Stanisław Witkowski, zagrożony dalszym wdzieraniem się Jerzego Horwatha w stronę doliny Białego Dunajca, przystąpił do zakładania wsi Jastrzębca (Suche) i Zębu, co uzasadnił następująco: „Widząc, iż w dobrach starostwa nowotarskiego, na ten czas dzierżawy mojej są pustynie niemale, z których nie tylko pożytku nie masz, ale owszem, wrogowie przechodząc rzekę graniczną w nie się wdzierają, pozwałam urodzonemu Wiktorzynomu Zdanowskemu i Annie Dziechtarzkiej, małżonkom, osadzić dwie wsie. Zubów i Jastrzębiec”...

Na to bezprawne poszerzanie granic włości Łaskich, Paloczayów i innych spiskich magnatów kosztem terenów Polski skarżył się Sromowce i Łopuszna, a szczególnie pozostająca w polskim zastawie Biała Spiska, o czym mówią nam materiały archiwalne Biblioteki Muzeum Czartoryskich w Krakowie: z r. 1562 pochodzi skarga mieszkańców Białej o naru-

Polska utraciwszy za Ból. Krzywoustego obszar nad górnym Hernadem postradała następnie w początku XIV w. dystrykt podoliniecki i pozwoliła Węgrom usadowić się na prawym brzegu Dunajca i Białki. Tam, na Zamagurzu Węgrzy budują zamek w Niedzicy i Czerwony Klasztor, a następnie rozpoczynają kolonizację tej krainy polskim elementem osadniczym napływającym z Sądeczyny i dalszych ziem Podwisła.

szanie jej granic przez ludność Frankowej; w r. 1563 wnosł Biała skargę na panów zamku niedzickiego, że ich poddani bezprawnie użytkują pastwiska w Koperszadach tatrzańskich i w Tokarni; w r. 1569 ponownie wpływa taka skarga; w r. 1580 zachodzi znówu konieczność obrony granic przed mieszkańcami Relowa, a w r. 1618 przed Paloczayami wdzierającymi się nadal w pastwiska Koperszadów. Bronić muszą swego stanu posiadania przed zaborczością sąsiadów także Druzbaki, Podoliniec, Nowa Wieś Spiska, Spiskie Podegrodzie...

Jerzy Horwath Paloczay nie zadowolając się posiadaniem klucza niedzickiego pożyczca w r. 1612 królowi Maciejowi II sumę 35000 florenów i tytułem zastawu zabiera na jakiś czas ogromne majątki znieśionego Czerwonego Klasztoru.

Droga połowa XVI w. to okres krytyczny dla katolicyzmu na Spiszu. Ok. roku 1550 innowierstwo zwycięża bowiem nie tylko w części węgierskiej tego kraju, ale i w 16 miastach, zastawionych Polsce gdzie ma ono możnych protektorów w osobach takich starostów lubowelskich jak Piotr Kmita, Jan Bonar, Mikołaj Maciejowski i syn jego Jan. W dolinach Hernadu, Gnińca i Popradu, miasta o ludności przeważnie niemieckiej powołują ewangelickich proboszczów, Kartuzi z Lapis Refugii muszą w r. 1543 w Czerwonym Klasztorze szukać schronienia przed bandą Podmanlickiego, ale nie na długo, bo w rok później Czerwony Klasztor również pada ofiarą rabunku. W latach następnych mnisi rozpraszają się, część ich przechodzi na protestantyzm. Wreszcie w r. 1563 Ferdynand I z powodu rozluźnienia reguły i obyczajów przeprowadza kasatę klasztoru, którego dobra wkrótce przechodzą w ręce dysydenckich rodzin Magocsich, a potem Zygmunta Rakoczego, Stelana Thökölego, wreszcie dzierży je jako zastaw od roku 1612 Jerzy Horwath Paloczay.

W tych warunkach jedyną ostoją katolicyzmu na Zamagurzu stały się, prócz Lendaku Łapsze Niżne i Hanuszowce, gdzie gospodarowali Miechowici. Ale zakonicy ci znaleźli się pod koniec XVI w. w tak trudnej sytuacji, że zmuszeni są na życzenie Jerzego Horwatha, sprzedać mu w r. 1593 swe wioski. Sprzedają były objęte majątki prepozytury lendackiej z przynależnymi wioskami: Lendakiem, Hanuszowcami, Niżnymi Łapszami, Zdzarem i Jezierskiem. Sprzedano je za stosunkowo niewielką



Muzeum kieżmarskie znajduje się w dawnym zamku Zapolyów i Łaskich. Poniżej: gotycki ratusz w Lewoczy również mieści w swym wnętrzu muzeum regionalne. Obecny wystrój pochodzi z r. 1550. U dołu: tzw. „Złota Wleża” kościoła św. Krzyża w Kleżmarku. Wszystkie zdjęcia Janusza Bogdanowskiego.



sumę 11000 florenów polskich. W akcie sprzedaży Miechowicz zastrzegli sobie jednak pozostawienie im wyłącznego zarządu parafiami w sprzedanych wsiach, a więc i to, że parafie nie dostaną się dysydentom.

Wskutek tego innowierstwo nie zakorzeniło się na Zamagurzu tak głęboko, jak w innych częściach Górnych Węgier. Zresztą Horwatowie Paloczay wrócili do wiary katolickiej już w r. 1639, a z tą chwilą we wszystkich wsiach, należących do klucza dunajckiego, zwrócono katolikom kościoły. Rekatolizacja miała tu więc przebieg spokojniejszy niż np. w jedenastu miastach spiskich, podlegających władzy Habsburgów, gdzie nie było tolerancji religijnej i zdarzały się częste niepokoja związane z powstaniem różnych przywódców podnoszących broń przeciw absolutyzmowi dynastii habsburskiej.

Po reformacji wrócili na Zamagurze księża polscy, a prepozyt spisy, nie dysponując dostateczną ilością katolickiego duchowieństwa, musieli zgodzić się z tym stanem rzeczy, mimo wyraźnego zastrzeżenia, jakie Rudolf II uczynił w dyplomie z dn. 16. 1. 1606 r. nadającym prepozyturę spiską Wł. Hoszuthotemu „aby kościelne beneficja i godności nadane były krajowcom, a nie Polakom”. Wbrew temu poleceniu spotykamy w XVII w. niektórych Polaków piastujących nawet godności kanoników spiskich, że wymienię tylko Joachima Łużeńskiego (1630—1638) urodzonego w Nowym Targu albo Franciszka Łapszańskiego (Łapsanszky) (1686—1687), wreszcie Jana Piotra Martynowskiego (1690—1710) rodem z Łapszów Wyżnich, zapisanego w kapitule jako „Dunaviczensis Polonus”. A już proboszczami we wsiach zamagurskich z reguły byli Polacy aż do połowy, a w niektórych parafiach, do końca XVIII w. Długi ich rejestr znany mi jest dzięki ks. Józefowi Świszkowi (1956), który nie szczędził trudu, aby z ksiąg parafialnych po obu stronach granicy na Spłszu poczynić wyciągi.

Dzięki ks. Józefowi Świszkowi, sporządzającemu wyciągi ksiąg parafialnych po obu stronach granicy, znamy nazwiska ludności Niedzicy z okresu tuż po reformacji. Wiele tych nazwisk dochowało się tam po dzień dzisiejszy. Należą do nich wynotowane z metryk niedzickich z lat 1687—1708: Nida, Strączek Nowak, Tatka, Kopacka, Kuziel, Howaniec, Kaczycki, Sekula, Skorupa, Majorczak, Bogaczyk, Pukański. W przezwiskach dochowały się: Slemierz, Zieliński, Cępa. Z rodzin, które żyły w Niedzicy w XVII w., lecz wymarły po roku 1708 podajemy za ks. Świszkciem następujące: Serela, Saszka, Nadzieja Noga, Farenczak i Taratka.

Pozostaje do zbadania czy istnieją jeszcze w Niedzicy lub w sąsiednich parafiach takie nazwiska wynotowane z przełomu 17 i 18 wieku z metryk niedzickich, jak: Pierchala, Gier, Bieda, Więcek, Borczak, Kopaczyk, Bryja, Anioł, Stankowicz, Sabol, Dobosz, Kiszka, Dziesiętnik, Kauczak, Mosur, Chubały, Chryc, Galus, Mucha, Gryglik, Śmieskowicz, Tużyński, Chowańczak, Zacher, Mrugała, Kuźma, Zallokowicz, Głuchy, Kwak, Skorupiak, Kwaskowicz, Wrzeszkowicz, Muchowicz, Goryczka, Grzybowicz, Dwornicki, Kantorzak, Sołtysik, Witwicki,



Powyżej: widok na Spisz z nad Dunajca. Fot. Marian Kornecki. Z prawej: Kieżmark — fragment zabytkowej zabudowy. Fot. Janusz Bogdanowski. U dołu: dawne piwnice winiarskie we Frydmanie na polskim Spiszu. Tu były składy importowanych win węgierskich. Fot. T. Chrzanowski. Na stronie sąsiedniej, u dołu: zamek w Lubowli wg. dziewiętnastowiecznej rycin



Kasparkowicz, Hernecki, Kolczon, Wiąckowicz, Sieboda, Nogowicz, Tymko, Grzesiak, Hutniczak, Żywczak, Magoc, Wątroba, Ziątek, Gawronek, Dusza, Kliska, Tryniak, Szczesniak. Osobną grupę stanowią nazwiska związane z zajęciami: Kował, Faber, Rzeźnik, Jochas, Pasterz, Owczarz, Textor, Molitor, Młynarz Niżni, Młynarz Wyżni, Knap, Ogrodnik, Warznik, Piwowar, Cismak, Szewczyk, Horniczok, Kościelniak. Nie trzeba być lingwistą, ażeby stwierdzić polskość ogromnej większości tych nazwisk. Pisownia ich zmienia się częściowo w XIX w., bo w Niedzicy i w innych parafiach zamagurskich siedzą już wtedy plebanowie narodowości nie-polskiej. Są to najczęściej Słowacy lub posłowaczeni w szkołach spłscy górale. Wprowadzają oni do kościołów język słowacki, o czym mamy w naszej literaturze XIX w. szereg relacji.

Tak np. Ludwik Pietrusiński w t. III „Podróży... po Europie” (Warszawa 1845 r.) na str. 229 tak podaje: „To samo, co o Starej Wsi, musiałbym także powiedzieć o miłych wioskach Maciaszowcach i Hanuszowcach... Wszystko polskie, wszystko pracowite, gościnne. Wstąpiłam do otwartego kościoła. Ponieważ duchowni katolicy Komitatu Spiskiego wychowani są wszyscy w słowaczynie, łacinie, a teraz i madziarszczyźnie, przeto dla dwudziestu kilku wsi polskich na Spiszu nie masz żadnego wyjątku i kazania tym polskim włościanom w Starej Wsi, Maciaszowcach, Rejowie, Frydmanie itd. Ksiądz (choćby był rodem z tych okolic) nie mówi po polsku, ale po słowacku. W tym języku rozpoczyna modlitwę i śpiewy, które lud nabożny śpiewa dalej najlepszą polszczyzną. I resursy tutejsze to jest karczmy, polskimi radują się piosenkami.”

Pierwszy głos protestu przeciw takiemu upośledzeniu polszczyzny, podpisany inicjałami J. Z. opublikowany

został w dodatku tygodniowym do „Gazety Lwowskiej” (nr 3, r. 1852). Czytamy tam: „Poczucie narodowe polskie u Polaków zakarpackich jest dotąd bardzo słabe. Nic dziwnego. Długotrwałe oddzielenie ich od macierzystego szczepu i narzucenie im obcego narzecza w kościele, szkole i prawodawstwie wpłynęło na takie usposobienie. Węgierskie władze tak duchowae, jak świeckie, nie uwzględniając różnicy, jaką istnieje między nimi a Słowakami, traktują ich z pominięciem wszelkich zasad słuszności, bez namysłu, jako Słowaków. Obie posuwają, co większa, zaślepienie swoje do tego stopnia, iż usiłują narzucić idiomat (język; przyp. autora) słowacki naszym pobratymcom. Skutkiem tej zawziętości praktykuje się tutaj niesłychane zjawisko, że parafie zamieszkałe przez włościan polskich obsadzone bywają księżmi słowackimi, tudzież że do szkółek parafialnych, w pośród nich istniejących, nasyłają im nauczycieli Słowaków. Za sprawą tych obcych księży i bakałarzy musi się uczyć lud polski owych okolic języka słowackiego, zaniedbując swój własny zupełnie; musi słuchać kazań słowackich, śpiewać w kościele i modlić się po słowacku, nawet spowiadać się po słowacku... Język nasz, nie przypuszczony do zakresu publicznego, cofnął się w zacisze domowe ubogiego chłopka, nie wychylając się poza obręb poufnej pogadanki, istniejąc jedynie jako grube, wzgardzona mowa...”

Poprzestańmy na cytatach tych 2 głosów sprzed wieku, zadawając się stwierdzeniem, że mimo wszystko polska gwara górali zamagurskich, której piękną zachwycał się Staszic, okazywała dużą żywotność, a nawet ekspansywność, skoro przy braku wszelkiego poparcia i opieki ze strony czynników państwowych potrafiła jeszcze rozszerzać się wśród Łemków, a także wśród Niemców sprowadzo-



nych przez Józefa II z Württembergii nad brzegi Dunajca. Ale ta niemiecka wysypka powstała w latach 1786—1787, złożona z 23 rodzin szwabskich w Niżnych i Wyżnych Szwabach i 28 rodzin osiadłych w Lechnicy, nie zdołała etnicznie zmienić potskiego charakteru Zamagurza.

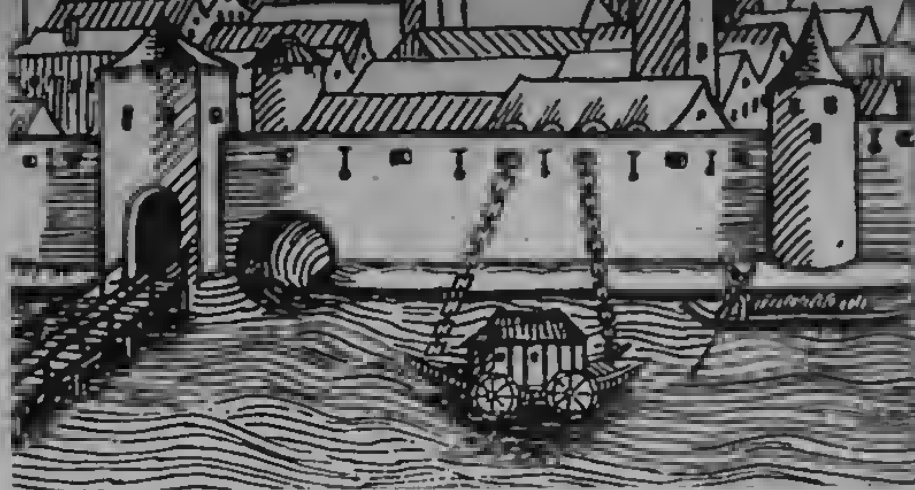


Zgodnie z zakreślonym planem tak w ogólnym zresztą zarysie przedstawia się historia Zamagurza Spiskiego, krainy do tego stopnia związanej z regionem podhalańskim, że ją L. Zejszner nazywał Spiskim Podbalem.

1) Praca P. Kurca poświęcona badownictwu Łączy Wyżnich zamieszczona w t. III (1942) zes. 1—2 „Narodopisnego Sbornika”.

#### LITERATURA PRZEDMIOTU:

- Ludwik Pietrusiński: Podróże, przejażdżki i przechadzki po Europie T. 1—IV W-wa 1845.
- J. Z.: O osadach polskich na Węgrzech. Dodatek Tygodniowy „Gazety Lwowskiej” 1851, nr 41, 1852 nr 3.
- Szczepan Morawski: Sądeczczyzna t. 1. 1865 T. II.
- Władysław Anczyk: Czerwony Klasztor w Pieninach „Kalendarz Ungar” 64, 18.
- Ks. Stanisław Załęski: Czerwony Klasztor w Pieninach. Kraków 1880.
- Bronisław Gustawicz: Z wycieczki w Czorsztynskie. W-wa 1881.
- J. Hradzky: Supplementum analectorum terrae scopusiensis. 1889.
- J. Hradzky: Additamenta ad initia progressus ac praeseas status Capituli Scopusiensis. Szepesvaralia. 1903—4.
- Oswald Balzer: O Morskie Oko. „Przewodnik Naukowy i Literacki”. R. XXXII. Lwów 1904.
- Stanisław Zachorowski: Węgierskie i polskie osadnictwo Spizu do połowy XIV w. A. U. Kraków 1909.
- Edmund Kołodziejczyk: Polacy na Górnych Węgrzech. „Świat Słowiański” 1910, t. II.
- Roman Zawiliński: Z kresów polszczyzny. Kraków 1912.
- Władysław Semkowicz: Granica polsko-węgierska w oświeceniu bistorycznym. „Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego” za lata 1919—1920.
- Mieczysław Orłowicz: Ilustrowany Przewodnik po Spiszu, Orawie, Lipowie i Czadeckiem. W-wa 1921.
- Karola Potkańskiego pisma pośmiertne. T. 1. Wyd. A. U. Kraków 1922.
- Teofil Modelski: Na marginesie sporu o Jaworzyń. „Wierchy” t. II, 1924.
- Teofil Modelski: Spory o południowe granice diecezji krakowskiej od strony Spisza. Zakopane 1928.
- Jan Vencko: Dejiny Stávráckeho opactva na Spiši. Ružomberok 1917.
- Kazimierz Dobrowolski: Migracje wołoskie na ziemiach polskich. Lwów 1930.
- Zofia Pacewiczowa: Osadnictwo wołoskie i wędrowni w Tatrach i na Podtatrzu. P. A. U. Kraków 1931.
- Zdzisław Stieber: Skład etniczny Stowacji. „Sprawy Narodowościowe” R. IX nr 6 W-wa 1937.
- Mieczysław Małeck: Język polski na południe od Karpat. Kraków 1938.
- Edward Pavlik: Spríevodca Spišskou Magurou. Bratislava 1955.
- Jan Wiktor: Pieniny i Ziemia Sądecka. Kraków 1956.
- H. Piętkowska — T. Stałch: Drogami Skalneji Zieml. Kraków 1956.



# O B Ź D Z I E L U

W numerze 6 „Ziem” M. Kordecki wspominał o pływających młynach, tak zwanych młynach łódznych (według Lindego „łódźny” = „łódziany”, od wyrazu „łódź”), używanych w Polsce niemal do ostatniej wojny. Holowano na dogodne miejsce i odpowiednio umocowane pracowały wykorzystując prąd rzeki; na większych rzekach były istną plagą dla żeglugi.

O młynach takich wspomina Sebastian Fabian Klonowicz w swym „Flisie” (I wyd. 1595 r.), utworze, który jest i swego rodzaju przewodnikiem krajoznawczym, i powieścią reportażową i podręcznikiem fabowym dla flisów, zawierającym także słownik terminologii flisackiej. Na przykład Klonowicz poucza ówczesnych żeglarzy wiślanych, że

Scietkę flisowską [muszę] zwać  
[treścią,  
A młyn pobrzeżny na Wiśle [...] [bódzielem,

mgłę — mamką, dawne łóżyko rzeki —  
wiśliskiem, krzywy nurt rzeki — wartem,  
itd. I poucza jednocześnie, jak się flis  
powinien zachowywać na rzece, szcze-  
gólnie w wypadku napotkania jakiejś  
przeszkody. Ostrzega więc i przed  
bódzielem:

Nowy sterniku, wzra tego  
[bódzia,  
Rostrąciłsi go, będsie kroto-  
[bówila,  
Musisz trzy kopy do młynarza  
[stracić,  
Młyn mu zapłacić.

Nie bądźcie głuchy, niechaj pró-  
[żnych wieści

A pilnie słuchaj, gdzie woda  
[ssieleści  
Wszak masz gdzie minąć, rzy-  
[rokieć pogródku,  
Chociaż młyn krótki.

Wszystka młynica zawisała na  
[kolku,  
Jeśli ją urwiesz, szalony pa-  
[choiku,  
Powiciesz s sobą z niemalym  
[gomonem  
Młynarza z domem.

A więc Klonowicz radzi steroikowi  
wstrzegać się zderzenia z bódzielem,  
bo jeśli go rosbije swoim statkiem, bę-  
dzie awantura (krotochwila, czyli ucie-  
cha, jak z żartobliwą ironią Klonowicz  
nazywa właśnie awanturę)—i sapłaci  
młynarzowi 3 kopy groszy. Aby tego  
uniknąć, steroik podczas pracy musi za-  
niechać plotek, pogawędek („próżnych  
wieści”) z towarzyszącymi i pilnie nad-  
słuchiwać, aby wcześniej usłyszeć szum  
wody na kole młyńskim bódzia. Na  
mijanie jest dużo miejsca: Wisła prze-  
cieci szeroka („pogródku” to rynna, któ-  
rą woda płynie na kolo młyńskie; tu:  
cała szerokość Wisły, bo młyn pływał  
na rzece). W końcu poeta wskazuje, że  
los młynicy, to jest budynku młynia  
(umieszczonego na pontonie), zależy  
tylko od draga, belki, którą jest on  
przymocowany do brzoju. Jeśli nie  
uważny sternik będkę tę urwie, „po-  
wiesie” młyn ze sobą. Oczywiście go-  
mon, a więc wrzask poszkodowanego  
młynarza, będzie wówczas niemalny.

Młyny takie znane były także na in-  
nych rzekach i to już w starożytności,  
między innymi używali ich Rzymianie.

Jak wynika z wiadomości, zawdzięcza-  
nych Prokopowi, żyjącemu na dworze  
bizantyjskim — młyny pływające miały  
być „wynalezione” jakoby w r. 543 w  
czasie oblężenia Rzymu przez Gotów,  
którzy unieruchomili młyny miejskie,  
odciawszy akwedukty. Z konieczności  
zbudowano wówczas młyny na łodziach,  
które zakotwiczone na Tybrze.

W Europie wzmianki o młynach pły-  
wających sięgają IX wieku, za najstar-  
szą zaś ikonografię takich obiektów  
uznać należałoby niektóre widoki miast  
z kroniki Hartmana Schedela z r. 1495.  
Jeszcze w połowie XVIII wieku widział  
je Paryż: pływały wzdłuż Sekwany.

Jeśli chodzi o młyny pływające po  
Wiśle, to przedstawił je Canaletto na  
swym wielkim „Widoku ogólnym War-  
szawy od strony Pragi”, malowanym  
w roku 1770. Młyny te na obrazie  
umieszczone są przy brzegu prąskim,  
mniej więcej w połowie jego długości  
objętej malowidłem.

Fotografię młynia pływającego  
na Dnieprze, pod Zalesszczykami, dał  
Brückner w swej „Encyklopedii staro-  
polskiej” (1939 r.), w baśle „Młyny”  
(jest to zwykła tratwa, a na niej skle-  
cona buda; z boku wielkie kolo młyń-  
skie).

Znamy jeszcze fotografię pływających  
młynów na Dunajcu pod Tarnowem,  
reprodukowaną w „Ziem” Nr 13 z  
1928 r. Niestety, interesujące to zdję-  
cie nie nadaje się do ponownej repro-  
dukcji w naszym piśmie ze względów  
technicznych. Gdyby ktoś z Czytelników  
rozporządzał widokiem, lub foto-  
grafią pływających młynów, samiecili-  
libyśmy je w jednym z następnych nu-  
merów.

ZYGMUNT BROCKI

## MŁYN NAPOLEONA ORDY



Młyn w Bolesławcu wg rycin Napoleona Ordy z połowy XIX wieku. Zdjęcie tego samego młynia wykonano w r. 1954 Tadeusz Chrusanowski.

Wysoki dach mansardowy kryty gon-  
tem, ściany z grubych belek na ka-  
miennym podmurowaniu, wysunięta nad  
wodą część budynku wsparta na potęż-  
nych słupach, a na boryzonce wieża  
gotyckiego zamku. Całość składa się  
na nastrojowy, jedyny w swoim rodzaju  
widok.

To młyn w Bolesławcu (pow. wiecu-  
szowski) położony malowniczo wśród  
rozlewisk Prozny. Budynek ma pocho-  
dzić jeszcze z XVI lub XVII wieku  
choć wiele jego cech wskazuje na zna-  
cznie późniejszy okres. Młyn czynny  
jest do chwili obecnej a z dawnego  
prymitywnego mechanizmu drewnia-  
nego zachowały się fragmenty. Budo-  
wla wraz z typowym dla terenów ni-  
żynnych założeniem wodnym jest nie  
tylko cennym zabytkiem, ale i malowni-  
czym uzupełnieniem krajoznawstwa. Nic  
dziwnego że zrobiła na nas duże wra-  
żenie. I nie tylko na nas, bo oto prze-  
glądając albumy Napoleona Ordy, zna-  
nego rysownika z połowy XIX stule-  
cia, natrafiłem przypadkowo na rycinę

z Bolesławca. Widniał na niej bole-  
slawiecki młyn. Co więcej okazało się  
że rysownik sprzed 100 lat wykonał  
swoją rycinę z tego samego miejsca  
z którego my fotografowaliśmy ten uro-  
czy zabytek. Wieża zamkowa była w  
owych czasach wyższa, sam młyn zaś  
posiadał boczną przybudówkę i dach  
kryty strzechą. Poza tym jednak wła-  
ściwie nie się nie zmieniło.

Młyn w Bolesławcu jest chyba je-  
dynym zabytkiem tego rodzaju, posia-  
dającym swą dawną ikonografię. (S.)



# TAJEMNICZE ŚLADY

K O N S T A N T Y S T E C K I

Od wieków człowiek wdierał się coraz głębiej w górskie pustacie. Pod siekierą osadnika padała podtatrzańska puszcza. Gineł pierwotni gospodarze tych terenów — niedźwiedź i ryś. Wytrzebiono prawie doszczętnie sarny i jelenie. Niedobitki zwierząt skryły się w niedostępne górskie zakamarki.

Ale człowiek w poszukiwaniu coraz to nowych bogactw, nie tylko przywłaszczał to, co znajdowało się na powierzchni ziemi. Sprowadzeni z nizin górnicy poczęli mozolnie wkuć się do wnętrza skal, wydzierając Tatrów ukryte skarby w postaci rudy miedzi, żelaza i srebra. Ślady działalności ludzkiej spotykamy w Tatrach wszędzie. Od zardzewiałego żelaznego haka wbitego niegdyś w szczelinę zbocza poprzez haldy sztolni górniczych i zwalone przyciesia starych szałasów, aż do znaków rytych przez zbójników czy też poszukiwaczy skarbów. Lecz góry starają się skrzętnie zacierać te ślady. Na zmurszałych belkach rozrzuconego przez wiatr lub lawinę szałasów bujnie pleni się roślinność. Hawiarskie drogi zasypują piargi i porasta czarny smrekowy las. Wężowe skrzyty kosodrzewiny oplatają kości zaginionych ludzi. Czasami wiosenne wody zwleką w dolinę wraz z zwirem jakiś żaloszny szczątek poszukiwacza przygód czy fortuny.

Trudno nieraz stwierdzić, kto penetrował tatrzańskie pustacie. Śledząc pozostałości ludzkich poczynąń, stajemy nieraz wobec nierozeźwiałych zagadek. Czasem jakiś poźółkły dokument, przechowywany w archiwach muzeów lub starych rupieciach miejscich ratuszy potrafi nam je wyjaśnić. Czasem snujemy tylko przypuszczenia. Wielekroć obserwujemy daremne wysiłki człowieka, wysiłki podejmowane w imię wierzeń w czary i gusła.

Któż zgadnie, ile czasu i energii pochłonęły poszukiwania skarbów. Dziś opisy takie znajdujemy tylko w sta-

rodrukach, dawnych opisach podróży i przekazywanych ustnie podaniach, ale nie zapominajmy, że niegdyś zupełnie poważnie wierzone w istnienie bogactw zaklętych przez duchy gór. Badając wnętrza jaskiń napotykamy na szczątki dawnych robót. Kto i dla jakich celów budował w podziemnym przepływie górskiego potoku belkowaną podłogę? Kto zawlókł tam dwa czołna, jedno zatopione i zmurszałe, a drugie o dziwo, całkiem jeszcze nowe? Kto kuł krzyże i symbole Chrystusa w postaci liter I. H. S. na gładkiej ścianie turni, opodal wylotu jednej z jaskiń w dolinie Kościeliskiej?

Stare zapiski i pamiątniki wyjaśniają po części całą sprawę. Chodziło tu nie tyle może o złoto ukryte przez zbójników, ile o skarby zgromadzone i strzeżone przez „duchy ziemne”. Istniały nawet dokładne opisy zaklęć, przy pomocy których można było „owe skarby osiąść”. Opisy te, tak zwane „spiski” były przekazywane z pokolenia w pokolenie i pilnie przez ich posiadacza strzeżone i ukrywane. Zresztą przeglądając je trzeba przyznać, że pod względem geograficznym stanowiły całkiem doręczne opisy dróg, wiodących w głąb Tatr. Odrzuciwszy zawarty w nich balast spraw nadprzyrodzonych, można traktować je jako pierwsze przewodniki po Tatrach, pisane ze znajomością terenu.

Ile pracy, trudu i nadziei musiał wkładać poszukiwacz skarbów w swe wyprawy, by wreszcie stwierdzić, że zaklęcia nie skutkują i że „duchy gór” nie chcą im być posłuszne.

Nieco później, jakieś sto czy sto pięćdziesiąt lat temu, pojawili się poszukiwacze skarbów, ukrytych przez zbójników. Ci opierali się na bardziej słusznych przesłankach, lecz i oni używali przeróżnych zaklęć, by odnaleźć zagrzebane gdzieś w uboczu kotłiki dukatów. I oni przemierzali Tatry wzdłuż i w szerz w pogoni za złotem, pozostawiając po sobie ślady. Ile razy

geolog, a jeszcze częściej speleolog napotyka stare wykopy, w miejscach o których głośni legenda, że były schronieniem zbójników. Niewątpliwie jedną z najciekawszych tego rodzaju pozostałości są znaki kute na skalnych ścianach.

Znamy doskonale napisy „zdobiące” turnie i drzewa tatrzańskich ustroni. Napisy te w rodzaju „Jadzia i Henio z Wolomina 1956” nie dziwią dzisiaj nikogo, gdyż od lat całych przyzwyczailiśmy się do ludzkiej głupoty i snobizmu. Ale są i inne znaki, kute zazwyczaj w niedostępnych i mało znanych miejscach. Nie ryli ich pasterze, drwale czy myśliwi, gdyż nie znali oni ani spotykanej w tych znakach symboliki, ani prawdopodobnie cyfr.

Najstarsze takie znaleziska odkryto w Zbójnickiej Dolince. Data wyryta tam na skale wskazuje, że już w r. 1531 zwiedzali ten zakątek poszukiwacze skarbów, czy też górnicy. Niedaleko od tego miejsca z żłobie spadającym stromymi progami w okolicę Bramy Kraszewskiego znajdują się nowsze już znaki i podpisy ostatnich zbójników tatrzańskich z r. 1804 i 1863.

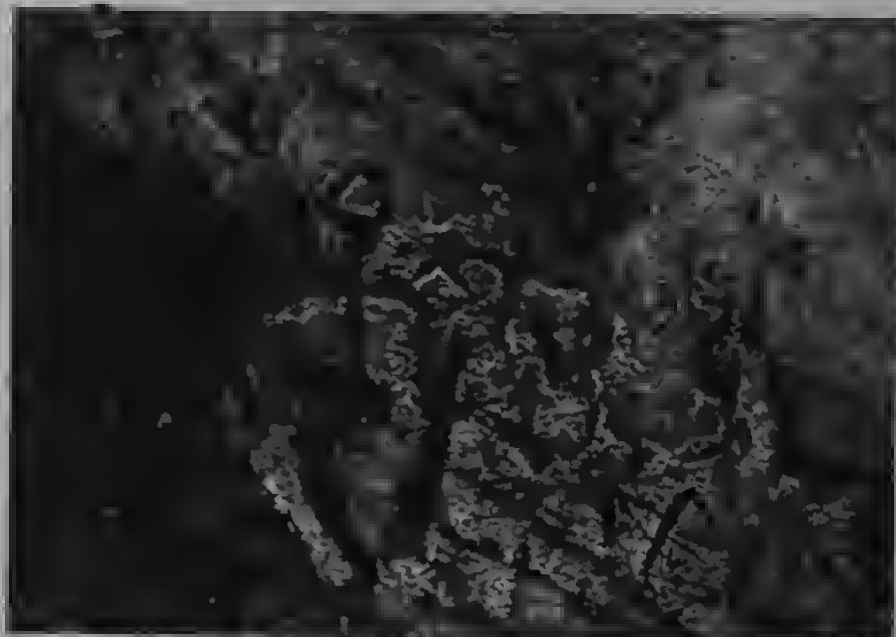
Bardzo ciekawe symbole były ryte na ścianach wąwozu Kraków. Niestety zostały one prawie zupełnie zniszczone przez współczesnych nam wycieczkowiczów, którzy także pozostawili ślady swej bytności w Tatrach, w postaci mniej lub więcej nlemdrych napisów. Ciekawe znaki znajdują się w okolicy otworu jaskini Poszukiwaczy Skarbów. Jest tam między innymi wyryty jako data rok 1663.

W samej dolinie Kościeliskiej niedaleko jaskini Wodnej Pod Pisaną, na skale znajduje się rysunek poszukiwacza skarbów czy też górnika.

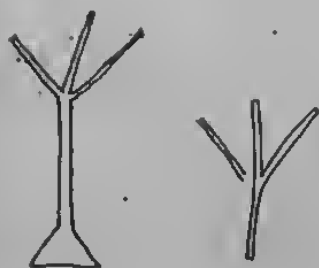
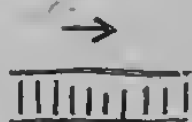
Treść rytych na ścianach symboli można podzielić na parę grup.

Najczęściej spotykamy krzyże przeróżnych rodzajów — od najprostszyc, aż do ośmioramiennych z typową pod-

Na zdjęciu: fragment skały z wyrytymi na niej znakami.  
Fotografował K. Stecki.



Z lewej: znaki wyryte na skałach tatrzańskich, wg rysunków z notury Konstantego Steckiego.



slawą w kształcie trójkąta. Czasem przypominają one kształtem symbol różdżki czarodziejskiej. Dostępnym są napisy, podpisy i daty, jak na przykład obiecujący napis nad Bramą Kraszewskiego „Sukaj a najdziesz”, lub znajdujące się tam podpisy tatrzańskich zbójników Tylki, Staszla i Kubińca. Do innej kategorii należy zaliczyć ryte niewątpliwie przez górników lub poszukiwaczy skarbów symbole metali szlachetnych jak złoto, miedź i srebro. Najbardziej znane są rysunki drabinek, strzał i postaci ludzkich.

Opisane powyżej znaki były już od wielu lat znane. Lecz ostatnio odkryto dwa bardzo ciekawe skupiska takich znaków — jedno w północnym stoku Sarniej Skaiki, w żlebie będącym przedłużeniem doliny Ku Dziurze, drugie po północnej stronie szczytowej turni Kończystej nad doliną Kościeliską.

Nowe znaleziska różnią się zasadniczo, od opisanych poprzednio, zarówno odmienną symboliką, jak i obfitością znaków. Zarówno w jednym jak i w drugim miejscu spotykamy około kilkudziesięciu rytym głęboko w wapiennej skale rysunków. Przewagę stanowią krzyże o bardzo zróżnicowanych formach oraz niespotykane gdziekolwiek symbole swastyki, słońca i krzyża, który przypomina kształtem liść koniczyzny czy też znak trefla.

Nie udało się ustalić bliżej czasu ich powstania. Jedyne znajdujące się tam data jest zatarta i nieczytelna. Jednak niewątpliwie dwie pierwsze cyfry to 1 i 6, czyli wyryto owe znaki w siedemnastym stuleciu.

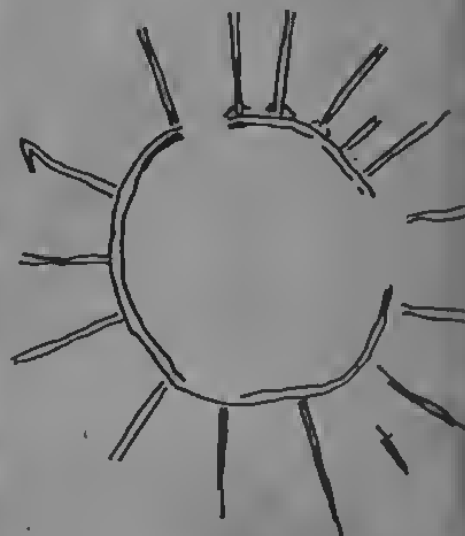
Ciągle jednak pozostaje zagadką, kto i w jakim celu wyrył tak wiele różnych znaków? Na jednej ze ścianek w stokach Sarniej Skaiki widnieje na powierzchni 3 m<sup>2</sup> ponad czterdzieści krzyży i symboli. Próbowano obliczyć, w jakim czasie możnaby wykonać podobne znaki. Okazało się, że na wyrycie ich trzeba było zużyć 42 godziny, czyli ponad pięć ośmiodziesięciu dni pracy. Któż miał na to czas i ochotę? Przypuszczenia czyniono różne. Znajdąc mniej więcej stosunki panujące pod Tatrami około 1650 r. sądzić można, że miejsce gdzie znajdują się owe znaki, było może punktem zbornym poszukiwaczy skarbów lub górników, zwłaszcza, że oba znaleziska znajdują się w miejscach ustronnych, zasłoniętych przed wiatrem i nadających się na budowę prowizorycznych schronów. Możliwym jest, że były tam zbudowane koleby, w których przechowywano narzędzia i zapasy. Za tą teorią zdaje się przemawiać symbolika znaków, używana w tych czasach przez górników, a z pewnością także znana poszukiwaczom skarbów.

Prawdopodobnie ruszający na poszukiwania ukrytych skarbów wykuli w skale magiczne symbole i krzyże dla przeblagania lub odegnań nadprzyrodzonych potęg, broniących przystępu do owych bogactw. A może były to jakieś umowne znaki zbierających się tu i spiskujących przeciwko staroświeckiej władzy poddanych?

Pewnego powodu kucia tych znaków nie znamy i słusznym by było aby owymi znaleziskami zainteresowali się specjaliści historycy, którzy spróbowaliby rozwiązać zagadkę, dorzucając jeszcze jeden przyczynek do historii pobytu człowieka w górach.



Powyżej: korytarz jaskini tatrzańskiej. Fot. Z. Małek. Nawet w głębi trudno dostępnych jaskiń znajdowano nieraz tajemnicze, niezrozumiałe znaki. U dołu: rysunki skalne sprzed 1000—1500 lat w Parku Narodowym w stanie Utah (USA). Rysunek z prawej przedstawia jeden ze znaków tatrzańskich.



# KOŚCIELNI STRAŻNICY

W Nr 1 „Ziemi” z r. 1956 i w Nr 6 z r. 1957 zamieszczono notatki o rzadkich wykładkach figuralnych, czyli metalowych ochronach zamka zachowanych w Polsce — jak podano — jedynie w Koniecpolu i Łowiczu. Otóż z wykładkami figuralnymi spotkałem się na Śląsku we wsiach Zimna Wódka i Klucz (pow. Strzelce Opolskie).

Pomiędzy Kędzierzyna a Strzelcami Opolskimi w pięknej, pagórkowatej okolicy rozsiadły się trzy wioski odległe od siebie o parę kilometrów. Są to Olszowa, Klucz i Zimna Wódka. Posiadają one malownicze drewniane kościółki pochodzące z około XVIII w. a zbudowane prawdopodobnie przez tego samego cieślę, gdyż cechuje je podobna forma architektoniczna wieży i nawy przykrytej wspólnym dachem. Najpiękniej położone są kościółki w Kluczu i Zimnej Wódce, stojące na niewysokich wzgórzach w otoczeniu starodrzewu. Oba posiadają też na drzwiach kruchty cieka-

we wykładki figuralne, które w odróżnieniu od wspomnianych wykładek z Koniecpola i Łowicza o tematyce nieco lrycznej, przedstawiają strażnika w ówczesnym osiemnastowiecznym umundurowaniu, atojącego jakby na straży mienia kościelnego. Wykładki te wykonane prymitywnie z blachy, nacznane ostrym narzędziem i trybowane w szczegółach, przybite są do drzwi ćwiekami.

Wymienione wykładki — jak sądzę — nie stanowią unikatów na ziemi śląskiej i gdzieś indziej niedostrzeżone uchodzą ludzkiej uwadze. Dlatego zachęcam turystów, aby przy zwiedzaniu obiektów zabytkowych zwracali pilniejszą uwagę również na stare okucia drzwi a o odkryciu napotkanej wykładki figuralnej zawiadamiali czasopismo „Ziemia”. Przyczynią się oni w ten sposób do wzbogacenia naszej wiedzy o dawnym polskim rzemiośle.

Stanisław Mękicki



Metalowa wykładka z drzwi kościoła we wsi Zimna Wódka, powiat Strzelce Opolskie. Rys. St. Mękicki.



Wykładka z drzwi kościoła we wsi Klucz, powiat Strzelce Opolskie. Rys. St. Mękicki.



Zb. Łagocki

**W**SZYSCY chyba co doświadczenia turyści krakowscy znają mistrza Józefa Trutkowskiego. Doskonale plecaki jego pomysłu i produkcji można zobaczyć na wszystkich szlakach krajowych, a niektóre sawędrowały na plecach swych właścicieli w Alpy, na Spitsbergen, do Bułgarii, w Pirenejach... W małym warsztacie przy ulicy Zwierzynieckiej spotykają się narciarze i kajakowcy, taternicy i grotolazi przynosząc kaleki sprzętu do naprawy. Druga specjalność

pana Józefa to atletyka. W podnoszeniu ciężarów zdobył nawet mistrzostwo krajowe w jednej z wag. To wszystko nie przeszkadza mu parować się delikatną dyscypliną kunsztu poetyckiego.

Nie oceniamy tej poezji — nie o to chodzi. Zestawmy tylko fakty: rzemieślnik, silacz, poeta, którego stać i na lże wzruszenia i chciałby czar Bieszczad przenieść (dosłownie) do miasta. Podobno pisze wierszem pamiętnik swego życia.

## POŻEGNANIE BIESZCZAD

Ranek swiastował pogodę bez chmurki —  
To skwarny dzień zaczął się znówu.  
Wrokiem pięciłem doliny i górki,  
W sadumieniu usiadł nad brzegiem parowu.

Gdzie łopuch liście ponad głowę wznosi.  
Ścieżki zarosły olszyną i krzewem  
Wśród traw przebujujących, których nikt nie kosi.  
A drogi wichry zawałiły drzewem.

Dawno człowieka nie było w tej stronie  
Każdy zakątek dzikością osnuty  
Niekiedy zimno przeobdobi przez skronie  
Patrząc na zgliszcza i sadów kikuty.

San, ro zwykły szumieć między porohami,  
Leniwie płynął mijając kamyczki.  
Potok się sączył wśród skał wykrotami,  
W górach powoli konały strumyki.

Słońce jak piechur obchodziło szczyty,  
Na poloninach okrzykiem przysiadło.  
Zarem rzucalo na świat mchem pokryty,  
To znówu w przełęcz chowając się blade.

Długo już deszczu nie było w tej stronie,  
Ziemia spękana, spragniona wilgoci.  
Śladu znaleźć trudno po dzikiej zwierzynie  
Zato zmij mnóstwo wśród traw i paproci.

Gdybym te wszystkie bezdroża i jary  
Polonin szczyty mógł ująć w swe ręce,  
Tę czar ro drzemie w Bieszczadach ukryty  
Wlókł bym do miasta — szczęśliwy, choć w męce.

Na koniec z żalem patrzyłem dokola  
Kapelusz zmięty na głowę nacisnął  
Czołem Bieszczady — półgłosem sawołał  
I lże rozstania na dłoniem wycisnął.

Józef Trutkowski

W. Plewiński





Prof. Dr. Stanisław Berezowski, profesor Uniwersytetu Warszawskiego i redaktor naczelny magazynu geograficznego „Poznaj Świat”, w odpowiedzi na apel ZIEMI ogłoszony w numerze 5/57 zabiera głos w dyskusji nad nowoczesnym ruchem krajoznawczym w Polsce.

Kiedys w roku 1954 przy pięknej pogodzie odpoczywałem na Trzydniwiańskim Wierchu patrząc na wędrujące obłoki i na szbatą linię szczytów Tatr Zachodnich. Gwałtownie skierowałem moją uwagę w przeciwną stronę i gdy odwróciłem się, zauważyłem grupkę chłopców w wieku szkolnym pod przewodnictwem starszego pana, który zaczął im po chwili objaśniać widok, piękny widok, jaki rozciąga się z tego Wierchu. Usłyszałem nazwy okolicznych szczytów i przełęczy. Chłopcy interesowali się oglądaniem panoramy i paru pytaniami powodowali uzupełnienia; dodatkowe nazwy wierzchołków oraz mniej lub więcej dokładnie podawane ich wysokości nad poziomem morza. Wszystko to dotyczyło tylko topografii. Grupa wycieczkowa roglądała się jeszcze przez chwilę dokoła, a potem powędrowała grzbietem północnym, zapewne spowrotem do schroniska.

Owa przypadkiem spotkana i mimo woli podśluchana grupa wycieczkowa sprawiła, że jaśniej uświadomiłem sobie, z jakim bagażem zainteresowań polscy turyści i krajoznawcy wyruszają na wycieczki. Młodzi chłopcy na Trzydniwiańskim Wierchu i ich starszy przewodnik byli grupą wycieczkową dość dobrze ustawioną, grupą, która niewątpliwie interesowała się terenem swojej wędrowki, oczywiście dzięki przewodnikowi.

Jednak jego stosunek do gór i wiedza o Tatrach ograniczała się tylko do topografii. Oprawdany chłopcom nie powiedział nic o ciekawych faktach budowy geologicznej Tatr Zachodnich, nie o strefach roślinnych czy pochodzeniu rzeźby dolin i kształtów grzbietów. A przecież tu właśnie z Trzydniwiańskiego Wierchu można było nie tylko o tym powiedzieć, ale i pokazać szereg bardzo ciekawych zjawisk, które jakże waleśnie rozszerzyłyby wiedzę krajoznawczą o Tatrach u chłopców powierzonych jego opiece.

Ileż jest jednak w Polsce turystów, a nawet krajoznawców, którzy nie mają nawet tego „topograficznego” stosunku do zwiedzanych przez się obszarów. Po wojnie turystyka objęła szeroki zasięg ludzi z różnych grup społecznych. Wszelkie pogłębienie krajoznawstwa jako wiedzy o kraju, o zwiedzanych jego regionach, jest jeszcze bardzo niske. Prawie żadne. Mamy co prawda o wiele więcej niż przed wojną wydawnictw typu zwyczajnych monografii krajoznawczych. Mamy drukowane przewodniczki dla trasy wczasów wędrownych; ohy tylko poziom ich był coraz lepszy. Osiągnięliśmy niewątpliwie wyższy poziom czołówek aktywności naszych przewodników. Jednak osiągnięcia nasze są w tym zakresie jeszcze małe i ogólna masa turystów wędruje nadal w najlepszym razie z „topograficznym” nastawieniem krajoznawczym, albo też z nastawieniem jakiegoś wyłącznie sportowego wyżycia się. Takie np. nocne marsze i raidy turystyczno-krajoznawcze nie nie dają. Wydaje się, że powinniśmy zawsze stosować zasadę: „nie ma turystyki bez krajoznawstwa ani krajoznawstwa bez turystyki”.

Musimy jednak zdawać sobie dobrze sprawę nie tylko z tego, co to jest krajoznawstwo, ale i w jakim kierunku należy go rozwijać. Dlatego też uważam za bardzo słusze rzucenie hasła do dyskusji nad tymi problemami przez naj-

bardziej do tego w Polsce powołane czasopisma: przez „Ziemię” w maju br. oraz przez „Turystę” w dwa miesiące później.

Odpowiadając na apel zabrania głosu w dyskusji nie będę oczywiście powtarzał tego, co w niej już powiedziane zostało. Stwierdzę jedynie, że potrzeby ustalenia kierunków rozwoju krajoznawstwa oraz dawne poglądy na to, czym ono jest, nie wiele straciły na aktualności, chociaż odnoszą się one do odmiennych etapów historii i różnych faz rozwoju ruchu krajoznawczego.

Przed pół wiekiem dla pierwszych, jeszcze nielicznych grup krajoznawców potrzebne było hasło rozszerzenia ich wiedzy z zakresu dziedzin humanistycznych na przyrodniczo-społeczne. Obecnie dla lepiej ustawionych grup społecznych szerokości mas turystów formuluje się hasło zmiany „topograficznego” podejścia do krajoznawstwa i przejście na pogłębienie wiedzy krajoznawczej i rozszerzenie jej na zagadnienie życia kulturalnego, społecznego i gospodarczego regionów naszego kraju.

W okresie międzywojennym — nie tylko zresztą w Polsce — rozwinął się tak zwany „ruch regionalistyczny”. Miał on wiele cech wspólnych z krajoznawczym; szedł w kierunku pogłębienia możliwości wszechstronnej wiedzy o własnym regionie<sup>\*)</sup>. Wydaje mi się, że dyskusując nad właściwym programem krajoznawstwa musimy nawiązywać do ruchu regionalistycznego i wyciągać dla nas wnioski z jego programu i doświadczeń.

Trzeba też dokonać rewizji naszego stosunku do tego ruchu. Po wojnie wyrażany był w Polsce pogląd, że „ruch regionalistyczny był co prawda zdrowym prądem mającym na celu ratowanie kultury burżuazyjnej przed jej postępującym nieuchronnym rozkładem, przed upadkiem kultury i gospodarki poszczególnych regionów, które na skutek nierównomierności zagospodarowania tychże krajów były skazane na upadek. Jednak w społeczeństwie socjalistycznym — mówiono przed paroma laty — władza ludowa w ramach nowego systemu społecznego zapewni rozwój kulturalny i gospodarczy całego kraju i wszystkich jego dzielnic, przeto niepotrzebny jest żaden osobny ruch regionalistyczny”.

Była to jednak tak zwana „drętwa mowa”. Na szczęście okres ten należy do przeszłości.

Życie i rozwój kulturalny grup społeczeństwa może rozwijać się należycie tylko w odpowiednio ustawionych i zorganizowanych formach regionalnych. Formy te umożliwiają nie tylko utrzymywanie zwyczajów i dobrych, często postępowych, tradycji miejscowych, ale sprzyjają w dużym stopniu kontynuacji i rozwijaniu kultury ogólnonarodowej. Przecież wiele jej dziedzin rodzi się w poszczególnych regionach kraju. Kraj bez życia regionalnego musi chorować na hipertrofię centralizmu i być zżerałym przez raka biurokracji. Ożywciość życia regionów może być dokonana li tylko przez ich mieszkańców i to mieszkańców znających dokładnie przeszłość, teraźniejszość i możliwości rozwoju na przyszłość zamieszkałej przez nich części kraju.

Mówiąc o tym nie zamierzam lansować ujmowania „ruchu regionalistycznego” w jego dawnej postaci. Nie jestem zwolennikiem stwarzania jeszcze jednego, osobnego aparatu organizacji społecznej. W zakresie rozwoju kultury i gospodarki poszczególnych regionów, tej prowincji często zabitej deskami, powinno i musi pracować wiele organizacji i instytucji. Musi pracować właściwie całe ludowe społeczeństwo. Jednak moim zdaniem szczególnie dużą rolę powinny odgrywać w tym zakresie odpowiednio zorganizowane szeregi krajoznawców.

Program regionalny krajoznawstwa nie ma na celu realizacji jakichś specjalnych założeń. Powinien on jedynie stworzyć niezbędne ośrodki w dziedzinie wszechstronnej i równomiernego rozwoju kultury i gospodarki każdej części kraju.

Krajoznawstwo polskie powinno przede wszystkim obecnie przyczyniać się do rozszerzenia i pogłębienia poznania regionów kraju w zakresie życia społecznego i gospodarczego oczywiście zwołując własnymi metodami prary.

Ale jakie są te własne metody? Zatarły się one nieco w naszej świadomości. W ostatnich latach zbyt pochłaniały nas zagadnienia ważne organizacyjnie i za mało myśleliśmy o sposobie przeprowadzenia naszej działalności krajoznawczej. Na temat metod potrzebna jest nam również dyskusja. Musimy dostosować je do naszej obecnej działalności obejmującej szerokie rzesze krajoznawców i turystów. No, ale wróćmy do założeń programowych.

Krajoznawstwo regionalne jest najważniejszą — choć może nie jedyną — formą naszego ruchu. Jego założenia programowe są bardzo szerokie. Wydaje się, że rozsądzają one dotychczasowe ramy naszej organizacji. Tak chyba jednak nie jest. Znajdzie się przecież w naszych kolach miejsce na rzetelne pogłębienie zakresu regionalnego wiedzy krajoznawczej; zakresu wiedzy z szerokim uwzględnieniem lokalnych problemów kulturalnych, społecznych i gospodarczych.

Czasem słyszy się pogląd, że organizacje turystyczno-krajoznawcze skupiają ludzi pragnących przeżywać przyjemne chwile na łonie przyrody, w ucieczce od trosk i zmartwień życia codziennego, a może od naszej obecnej rzeczywistości. Jeden z zachodnich publicystów wręcz zakwalifikował ruch turystyczny w całym kraju do prądów epikurejskich i wyciągał go z światopoglądem egzystencjalnym. Nie przesądzam, w jakim stopniu ocenę tę można odnieść do polskiego ruchu turystycznego. Chcę jedynie stwierdzić, że rozwój właściwie pojętego krajoznawstwa regionalnego idzie zdecydowanie w poprzek tego rodzaju opiniom.

Wycieczka, kontakt bezpośredni z przyrodą czy zabytkami, to elementy, które były, są i będą bardzo charakterystyczne dla prary krajoznawczej. Chodzi tylko o to, aby pracę naszą, prowadzoną nadal naszymi metodami, rozszerzyć w kierunku pełniejszego zakresu wiedzy o kraju, a przede wszystkim regionie. Chodzi o poznanie problemów właściwego zagospodarowania regionu, słusznej lokalizacji zakładów produkcyjnych, racjonalnych kierunków rozwoju poszczególnych miasteczek, miast, powiatów itp.

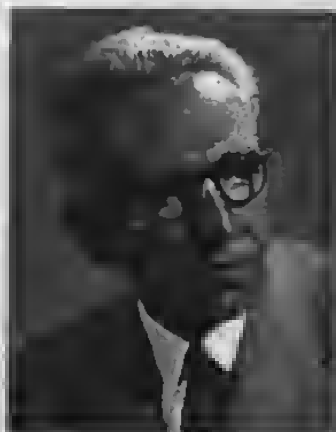
Wędrując na krótkie wycieczki jednodniowe starajmy się na przykład poznać charakter gospodarki rolnej, potrzeby melioracyjne, wykształcenie szaty leśnej i jej przemiany w porównaniu z pierwotnym zalesieniem, rodzaj gleb, a może i występujące tu i ówdzie niekorzystne objawy erozji gleb lub zbożczy. Jeśli sapersimy na naszą wycieczkę jakiegoś fachowca agrotechnika czy leśnika, to na pewno wiele ciekawych rzeczy pokażą nam oni w terenie.

Nie muszę chyba udowadniać, że wycieczka po mieście z konserwatorem zabytków lub historykiem da nam również bardzo wiele. Nie wiem jak przedstawia się sprawa działalności społecznych opiekunów zabytków architektury i zabytków przyrody. Sieć takich opiekunów była przed paroma laty organizowana przez PTTK. Jakże żalnie wiąże się ich działalność z życiem kulturalnym regionów. Raz po raz słyszy się lub czyta w prasie alarmujące wiadomości o niszczeniu cennych zabytków wskutek wandalizmu, bezzwrotności czy niezrozumienia. Jakże ważną rolę w ich ochronie mogłoby odegrać właściwie postawione krajoznawstwo regionalne.

Złe się dzieje również i na odcinku ochrony przyrody. Istnieje w Polsce jakiejś dziwne nieporozumienie, że problemy z tym związane są wymysłem grupy naukowców. Zapomina się, że chodzi tu o zachowanie właściwych powiązań pomiędzy takimi elementami środowiska geograficznego jak formy powierzchni ziemi, wody, klimat, czy szata roślinna. Ze bez tych powiązań nie ma utrzymywania zasobów naturalnych (gleb, wód, złóż mineralnych itp.) celem ich długotrwałego i rozumnego wykorzystywania dla gospodarki oraz uniknięcia szybkiej ich dewastacji. Wynika stąd konieczność tworzenia całkowitych lub częściowych rezerwatów oraz ochrony zabytków przyrody w różnych częściach Polski. Krajoznawstwo regionalne ma wiele ważnych zadań, nie tylko w propagowaniu ogólnych założeń ochrony przyrody, ale również we wskazywaniu konkretnych faktów, jeśli gdziekolwiek śle się dzieje w tym zakresie. A są to przecież sprawy niezmiernie doniosłe i pod względem kulturalnym i gospodarczym w każdym chyba regionie.

W ten sposób pojęte krajoznawstwo byłoby nie tylko biernym i wąsko traktowanym poznaniem swego kraju i regionu. Stałoby się niezwykle czynną pracą poznawczą, a może nawet badawczą. Nie chodzi mi tutaj o wprężanie szerokości rzeszy krajoznawców do badań terenowych. Chodzi tylko o to, aby w naszych kolach stworzyć atmosferę czynnego stosunku do poznawania elementów regionu. Aby możliwie wszechstronne wiadomości i obserwacje zdobywane na wycieczkach były uzupełnione lekturą, referatami na zebraniach, aby były dyskutowane i napraw-

<sup>\*)</sup> patrz mój artykuł „Krajoznawstwo, regionalizm, planowanie” „ZIEMIA” 1949, str. 136.



Kazimierz Sayse-Tobczyk — pisarz krajoznawczy, literat i publicysta, fotografik. Zarazem działacz turystyczny i pionier polskiego campingu. Autor kilku tomów nowel o tematyce górskiej: „Monte Adamello”, „W śniegach Alp Rumuńskich”, „Wilczyko”, oraz kilkudziesięciu ilustracyjnych dzieł popularno-naukowych i albumów krajoznawczych. Redaktor naczelny czasopism turystycznych oraz dziołów literacko-naukowych w prasie przedwojennej.

# ZIELONE LETNISKA

Wiele już upłynęło wody w Dunajcu, Popradzie i Narwi od czasu gdy nad ich małowniczymi brzegami zakładano w 1931 roku pierwsze „zielone letniska”. Niemala też od owego czasu zmieniło się na świecie. O campingu i weekendach dochodziły wówczas do nas zaledwie pierwsze wieści — ani nasza prasa ani organizacje turystycznego ruchu przez szereg jeszcze lat nie zdradzały najmniejszego zainteresowania tą sprawą.

Tymczasem wspaniała idea wypoczynku w bezpośrednim kontakcie z przyrodą, wytchnienia po pracy, ucieczki z murów miast na rzeki, jeziora, pola i lasy, wyzyskania każdego wolnego dnia na najbliższy czołby wypad za miasto — zdobyła sobie cały świat. Dziesiątki milionów ludzi w krajach Europy i Ameryki spędza dziś weekendy na wczasach kampingowych. Wokół wszystkich większych miast na zachodzie powstały niezliczone stacje obsługi, parkingi, obozy namiotowe, aż do urządzonych z nowoczesnym komfortem luksusowych osiedli z domkami składanymi i pawilonami. Od wczesnej wiosny do jesieni, czy pogoda czy deszcz, płyną autostradami bezkresne kolumny motorowych pojazdów. Weekend i, camping stały się masowym, dostępnym dla wszystkich, żywiołowym ruchem.

Jak zwykle w każdej pionierskiej robocie, pierwsze kroki naszego campingu nie były wolne od trosk, niepowodzeń i bolesnych zawodów.

Zrazu zapowiadało się wszystko jak najlepiej. A więc były nowiutkie, czyste domki składane na dachach z brezentu. Był okazały, wybudowany w solidnej ciesielce pawilon z restauracją i tarasami w kwiatkach. Było lato, słońce, Pieniny, ruiny czorsztyńskiego zamczyska, kąpiele w Dunajcu, wędrowki po Spiszu, wieczory przy ogniskach...

Rok 1931. Skromna notatka w prasie ściągnęła na pierwsze letnisko kampingowe w Czorsztynie kilkadziesiąt osób — kilku profesorów z krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, kilka małżeństw z Warszawy i Katowic, nawet dwie „mamy z pociechami” — młodzieży naogół niewiele. Większość kompanii czuła się wybornie „na łonie przyrody”, choć byli i tacy którym rzędy miny na widok prymitywnej pryczy z siennikiem i plagi wielonogich skorków spaceru-

jących po kncach i poduszkach. Po paru dniach treningu i oni jednak godzili się z losem.

To pierwsze letnisko w typie szwedzkich nadmorskich kolonii kampingowych wybudowałem bez niczyjej pomocy, licząc że w przyszłym roku eksperymentem tym zainteresuje się Touringklub Polski. Jedyne poparcie dla tej pracy pionierskiej uzyskałem od ówczesnego właściciela Czorsztyna, Stanisława Drobojowskiego, który bezpłatnie oddał mi w dzierżawę teren na Nadzamczu.

W następnym roku, pomimo kłopotów i deficytu z pierwszego sezonu, wybudowałem przy życzliwej współpracy właściciela Żegiestowa - Zdroju Kazimierza Krukierka drugą z kolei osadę kampingową na Łopacie Polskiej w pętli Popradu. Oba te letniska, położone w najpiękniejszych górskich zakątkach kraju, przyciągnęły w tym roku stokilkadziesiąt osób — tym razem głównie młodzież.

Rezultatem tych nbu pionierskich sezonów było zyskanie sporej już gromadki entuzjastów campingu i — gorzkie doświadczenie, iż bez poważnych funduszy publicznych nie da się dłużej kontynuować akcji prywatnym kapitałem. Touringklub początkowo godził się na przyjęcie obu letnisk górskich i sfinansowanie podwarszawskiego letniska w Popowie, w ostatniej jednak chwili tuż przed samym sezonem wycofał się z imprezy.

W tej to bezaadziejnej, napozór sytuacji zdołałem doprowadzić w lecie 1932 roku do zawiązania spółki udziałowej pod nazwą „Towarzystwo Letnisk Kampingowych”. Udziałowcami byli uczestnicy wczasów w Żegiestowie, Czorsztynie i Popowie w liczbie około 30 osób. Akcja tego zrzeszenia skierowana była głównie na weekend w terenie podstołecznym.

Wszystkie te trzy letniska nosiły charakter wyraźnie pionierski. Budowane były w takich miejscowościach, gdzie wyżywienie prowadzone było przez pensjonaty właścicieli terenów na ich własny rachunek. Z drobnych opłat za pobyt i nocleg na campingu nie można było nawet przy pogodzie i optimum frekwencji pokryć amortyzacji wkładów.

Grupa zapaleńców nie dała się jednakże odstraszyć i zrazić byle czem. Zwłaszcza od otwarcia w czwartym

U góry: pierwszy pawilon kampingowy w Jadwisinie nad Bugo-Narwią (1933). Niżej: domek kampingowy na letnisku kampingowym w tymże Jadwisinie (1937). Zdjęcia autora artykułu.

sezonie pięknie położonego campingu w Jadwisinie nad Bugo-Narwią, napływ letników i weekendowców wzrastał z każdym rokiem. W roku 1938 Polskie Biuro Podróży „Francopol” wykupiło udziały „Towarzystwa Letnisk Campingowych” i objęło odład prowadzenie pod własnym zarządem letniska w Jadwisinie.

Od tej jednak pory ciche dotąd ustronie w radziwiłłowskim parku ponad Narwią zmieniło gruntownie swój pierwotny charakter. Przyjeżdżali tu dawniej wyłącznie miłośnicy szczerego campingu, przyrody, ciszy, plaży, kajaków, rybołówstwa, słońca i zieleni. Gościli często członkowie licznej kolonii cudzoziemskiej. Mieszkały tygodniami rodziny na wczasach. Prócz piwa i lemoniad nie było innych trunków w bufecie zakładowym.

W nowej sytuacji camping nad Narwią przekształcił się szybko w tłumnie odwiedzaną stację weekendową. Jadwisin stał się modny. Wysokie brzegi rzeki rozkwitły dziesiątkami coraz to nowych kolorowych domków i kiosków, zaroili się tłumem setek weekendowców w soboty i święta.

Camping ze swoją rzetelną przyrodą, ciszą i zielenią, pomknął w dal — na skrzydłach jachtowych żagli i wiosłach kajaków...

\*

I oto nadszedł rok 1939. Gdyby nie wybuch wojny, stał by się on bezspornie pamiętną datą w dziejach polskiego campingu. Na zaproszenie Związku Powiatów R.P. odbył się dnia 10 maja owego roku zjazd przeszło 100 delegatów letnisk, gmin i samorządów powiatowych, na którym przyjęto statut nowego „Związku Letniskowo-Turystycznego woj. warszawskiego” oraz plan rozbudowy z funduszy wojewódzkich campingów i weekendowych stacji na przedpolach stolicy.

Opracowany i wygłoszony przeze mnie, jako wiceprezesa Związku, projekt rozplanowania podmiejskich ośrodków masowego ruchu, przewidywał uzgodnioną już z Województwem bezzwłoczną budowę stacji weekendowych nad Wisłą w górę miedzeszyńskiego wału, z własną autostradą i tramwajem wodnym — jakoteż na większą jeszcze skalę podjętą na mój wniosek przez „Ligę Popierania Turystyki” z wiosną 1939 roku akcję wybudowania kosztem kilku milionów złotych olbrzymich inwestycji sportowych, campingowych i weekendowych nad Bugo-Narwią.

Równocześnie ruszyła wreszcie z miejsca organizacja turystycznego campingu kajakowego i motorowego. W sierpniu tuż przed wojną powołano do życia „Polski Związek Campingowy” z siedzibą w Krakowie. Akcją tą kierowali znani turyści krakowscy dr Ludwik Kowalski i dr Antoni Bober.

Tak więc po ośmiu latach żmudnych i wytrwałych poczynań pionierskich otworzyły się nagle wspaniałe perspektywy spopularyzowania „zielonych letnisk”, campingu i weekendu w Polsce. Zwycięstwo było już tak bliskie...

W parę tygodni później pierwsze wagony z ksylotektową dyktą na budowę letnisk zostały rozbite na warszawskim dworcu przez hitlerowskie bomby.

Kazimierz Sayse-Tobiczyk

## NIEBAWEM...

Niebawem ukaże się nowy zeszyt z serii Atlasu Polskich Strojów Ludowych. Będzie to „Strój Sandomierski” Janusza Kamockiego. Opracowanie wymagało nie tylko długotrwałych badań w terenie, lecz również żmudnych poszukiwań w archiwach i bibliotekach. Reprodukujemy tutaj kilka dawnych ilustracji. Bez materiałów tego rodzaju nie moglibyśmy sobie zdać sprawy z przemian stroju ludowego w tych czasach, których już nie sięga pamięć starych wieśniaków.



Z prawej: garncarz z Łagowo w powiecie opoławskim. Rysunek no puchorze cechowym łogowskich garncarzy.

Poniżej: korowód sobótkowy w jednej z sandomierskich wiosek wg. rysunku z „Sandomierszczyzny” O. Kołbergo. Jeszcze w r. 1905 tańczono tu wokół sobótkowych ognisk w takich właśnie strojach.

Z prawej: sandomierski strój ludowy wg. współczesnej ikonografii. Mol. Aleksander M. Haupt.

Z lewej: chłopci sandomierscy w ubiorach świątecznych wg. „Mopy poglądowej Królestwa Polskiego” wydanej w Warszawie w r. 1885.



## ZNUŻENI PODRÓŻNICY



Kilka miesięcy temu wszystkie Polskie czasopisma ilustrowane zamieściły zdjęcie przedstawiające dwu młodych, wąsatych Hindusów siedzących na motocyklu z przyczepką. Napisy pod zdjęciami informowały, że pp. Rajnit Singh Patter i Upbar Singh Obersi, studenci anglistyki z New Delhi odbywają podróż dookoła świata, że finansuje to Indyjska Rada Młodzieżowa, że po drodze doznali wielu przygód, że mimo zmęczenia podróżą zgodzili się udzielić szeregu wywiadów itp. Po czym egzotyczni goście zniknęli gdzieś. Niedawno przed krakowską restauracją „Szarotka” zatrzymał się wielki nieco statygowany motocykl z cudzoziemskimi napisami i dwaj brunatnoskórzy młodzieńcy zniknęli w głąb jadalni. Tym razem maszynę otoczyła zaledwie niewielka grupka gapiów. Nic dziwnego: po mieście podobno krąży równocześnie legendarny amerykański samochód osobowy z zainstalowanym telewizorem. Ale i hinduscy goście bynajmniej nie zdradzali ochoty do rozmów a bardziej natrętnym tubylcom podsuwali pod nos artykuł jaki sami o sobie napisali swego czasu w „Ekspresie”. No cóż — bohaterowie są zmęczeni.





# NA ODPUSCIE

Chłopi mają policzki i karki ogorzone od słońca, ale kiedy odsłaniają głowy gromadząc się na stokach Jasnej Góry, biel czoła odcina się ostro od opalenizny. Mrując oczy wpatrują się godzinami w szczyt klasztoru. Chusteczki, zapaski, spódnice i bluzki wieśniaczek pstrzą się wszelkimi barwami. Głowa przy głowie olbrzymi kolorowy tłum zapełnia przestrzeń od murów aż po parki. Egzotyka tego obrazu jest tak uderzająca, że aż dziw bierze iż nikt dotychczas nie zajął się badaniem i opisywaniem zjazdów odpustowych, których liczebność może być porównywana ze słynnymi zbiegowiskami religijnymi w Benares czy w Meccie.

Nie chodzi mi jednak w tym wypadku o religijną stronę zjawiska, o ekspiaryjne znaczenie pielgrzymek, o nabożeństwa. Pisać już o tym wiele. Każdy odpust to także wielkie ludowe święto. Trzeba obejrzeć setki izb wiejskich żeby się przekonać jak podczas odpustów zajmują w oich zakupione na odpustach przedmioty dewocyjne, jak długo przechowuje się zdjęcia wykonane przez odpustowego fotografa na tle makiety Jasnej Góry z napisem „Pamiątka z Częstochowy”.

Tradycje podobnych zjazdów są bardzo stare. Może u ludów rolniczych w ten sposób wyrażała się podświadoma chęć przenoszenia się z miejsca na miejsce? Nawet prymitywne kultury łowieckie znały niekiedy doroczne święta religijne, połączone z zabawami i wymianą handlową. Może więc chrześcijaństwo związało nowe święta z jakimiś dawnymi obchodami pogańskimi? To rzecz historyków kultury. Ale gdy zabiorą się oni do opisywania współczesnych nam odpustów, pewnie będzie jak zwykle za późno i trzeba będzie dociekać mozolnie jak przebiegały zjawiska, których ślad pozostanie tylko w tradycji. Nie przesadzajmy samego istnienia odpustów. Chodzi mi w tym wypadku tylko o „odpusty” w sensie ich strony zabawowo-jarmarcznej, ludowej i połączonych z tym tradycyjnych zwyczajów.

Ile z tego jeszcze zostało? Znałem Częstochowę jako dziecko. Kiedy przyjechałem tu po dwudziestu pięciu latach, nie mogłem odnaleźć w mieście tego charakteru który zapamiętałem. Widziałem kominy fabryk których przedtem oie było, nowe bloki mieszkalne, inne szklane. Ale między Rynkiem Wieluńskim a kościołem św. Barbary wszystko było jak dawniej. Te same małe kamieniczki, te same kasztany i takie samo olbrzymie chłopskie mrowie.

Trudno dociec gdzie śpi kilkaset tysięcy przybyszów. Część dostaje się do domów pątniczych, lub znajduje noclegi w ciasnych, cudebnym kamieniczkach dzielnicy zwanej Częstochówką. Wielu całą noc czuwa na modlitwie lub stoi w kolejce do spowiedzi. Reszta śpi pokotem na ziemi, w parkach, na podwórzach domów, pod Kłasztorem.

Dziś większość pielgrzymek przyjeżdża samochodami. Rynek Wieluński i wiele uliczek i placów zamienia się w olbrzymi parking pełen ciężarówek i autobusów. W sobotę ciągną od dworca alejami „kompanie” przybywające koleją. Ludzie w komżach niosą kościelne chorałowie, białe ubrania dziewczęta z asysty trzymają wstążki seretronów. Za księdzem idą śpiewający wieśniacy z teczkami i koszykami w rękach. Pod Jasoą Górą złożyli pogięte







mosiężne trąby muzykanci strażackiej orkiestry. Widziałem zazdrość na ich twarzach, gdy patrzyli na następną kompanię, której orkiestra była liczniejsza i lepsza. Strażacy mieli czapki z długimi rogami i daszkami wielkimi jak dzioby.

Kiedy jeszcze nie słyszano o autokarach a kolej była nowością, prawie wszyscy przychodzili pieszo. Spod Warszawy szło się do Częstochowy dwa tygodnie. Starzy ludzie mogą wam jeszcze opowiedzieć o tych pielgrzymkach. Z roku na rok zatrzymywano się na popasy zawsze w tych samych miejscach. Za ludźmi wozy wiozły bagaże i zapasy żywności. Widziałem jeszcze takie wozy w Alejach. Przykryte były plachtami, napiętymi na drewnianych palakach. Jedna tylko kompania przyszła w tym roku 7 września pieszo.

Stara uboga wieśniaczka kupowała na straganie rzeźbiony piórnik dla swojej wnuczki. Dziewczynka cieszyła się. Być może przez kilka lat będzie to dla niej najcenniejszy przedmiot. Na prymitywnych ruletkach można wygrać gipsowe koty o ludzkich oczach, czerwono-zielone ptaki i blaszane świstawki. Żadna cepelia i żaden jej etnograficzny doradca nie narzucili jeszcze tutaj swoich gustów. Pełno tu strasznie brzydkich, klasycznie odpustowych i najautentyczniej ludowych wyrobów.



Stragany, budy, kramy i stoliki z wyłożonym towarem ustawione są w wiele rzędów. W dzień ledwie można się przecisnąć, wierzorem jest luźniej i chłodniej. Handel toczy się do późna w noc. Każdy kupuje dla siebie, rodziny sąsiadów, którym obyczaj nakazuje przywieźć prezenty. Olbrzymia jest liczba pątników, ale równie imponująca jest ilość handlarzy. Nie ma już wielkich częstochowskich kupców dewocjonalii. Zastąpiła ich Veritas z dziełkami swych kramów. Zostało jednak nieprzebrane morze drobnych przekupniów, którzy cały swój towar przenoszą w jednej walizce. Czasem jakaś babina wystawia kilka zaledwie figur czy obrazów, lub zarośnięty kolejarz rozkłada na ziemi kilkanaście celuloidowych zabawek.

Większość bandlarzy wyglądała na przybyszów z daleka. Wbrew powszechnemu mniemaniu tylko nieliczny procent mieszkańców Częstochowy żyje z pielgrzymów. Ci podczas odpustów zbierają swoje żniwo. Wiele tygodni wcześniej w ciemnych komórkach zaw sze pijani ludzie tłoczą na zztancach krzyżki i medaliki. Posrebrzają je w dymiących kwasami beczkach. Potem wciskają je przybywającym wieśniakom. Ci cyniczni sprzedawcy grzą wśród tłumu, obnosząc swój towar w rękach lub na drążkach.

Dawna Częstochowa miała podobno zorganizowany świat przestępczo-żebraczy, do którego należeli nie tylko przodkowie owych natrętnych sprzedawców, ale też i złodzieje, korzystający z nieuwagi rozmodlonych pątników i słynne „częstochowskie dziady”. Przy olbrzymiej liczbie charytatywnie nastawionych pielgrzymów żebractwo było bardzo intratne i podobno poszczególni żebracy dochodzili nieraz do znacznych majątków. Ow „związek” rozdzielał miejsca, niestowarzyszonych przepędzano bezwzględnie. Pamiętam z dzieciństwa długie szeregi potwornych żebraków, których trzeba było mijać wchodząc do klasztoru. Dziś tylko gdzieś niegdzie ujrzy się wśród tłumu dziada-kalekę. Proceder ten jest surowo zabroniony.

Niewątpliwie legendy otaczające historię „bractwa” przestępczego są przesadzone, ale samo jego istnienie wydaje się faktem. Do dziś jeszcze w użyciu jest tajna gwara, podobna do tej którą posługiwali się ślesieńscy obrażnicy. To zagadnienie szczególnie pilnie czeka na swego historyka.

W bocznej ulicy zobaczyłem dym. Pod kasztanami kurzyło kilkadziesiąt blaszanych kominów. Przy zastawionych stołach posilało się chłopstwo, a obok na prymitywnych kuchniach z gliny i cegieł odgrzewano przyniesione skądś stągwie kapuśniaku i smażyono kotlety. Nikt nie czekał na posiłek. Właściciele tych jadłodajni pod gołym niebem zapraszali przechodniów niczym wschodni kupcy. Gdzie indziej sprzedawano lemoniadę, piwo, lub wodę sodową. Czasem był to samochód pełen butelek, czasem jakaś staruszka stawiała na stolku dzban z sokiem i dwie szklanki.

Pierwszego dnia wydawało mi się że wszystko jest jak dawniej. Mniej tylko było ludowych strojów, a dziewczęta w lowickich pasiakach chowały zakupy do nylonowych koszyków. Drugiego dnia spostrzegłem w czym różnica. Nie było atmosfery zabawy, nie było karuzel, strzelnic i innych rozrywek jarmarcznych. Nie tylko więc samochody stanowią o zmianie. Warto się zastanowić nad przyczynami tego zjawiska. Może to spostrzczenie jest powierzchowne, a może ma jakieś istotne podłoże socjologiczne. Oczywiście nie miejsce w krótkim reportażu na takie rozważania, ani w ciągu dwu dni nie da się tego dociec. Piszę o tym dla zwrócenia uwagi.



TEKST: PRZEMYSŁAW BURCHARD  
ZDJĘCIA: ZBIGNIEW ŁAGOCKI

## MARIA PRZĘDZIECKA

Drzeworytnictwo ludowe to gałąź sztuki dziś już w zasadzie zamarła. Nie chodzi tu oczywiście o drzeworyty wykonywane przez jakiegoś wieśniaka na doroczne konkursy lub wystawy, lecz o ten rodzaj drzeworytów, które ongiś wyrzynano w malomiasteczkowych warsztatach drzeworytniczych i następnie odbijano seryjnie. One to włośnię sprzedawane przez handlarzy chłopom, zdobiły później wnętrza wiejskich izb. Prymitywne drzeworyty ludowe nie mogły wytrzymać na odpustowym kramiku konkurencji z naturalistycznym oleodrukiem. Ich twórcy przestali nprawieć swą sztukę — nie opłacała się. Załedwie cząstkę z dawnych okazów drzeworytniczych zdołali uratować kolekcjonerzy i badacze sztuki ludowej. Toteż obecnie znalezienie na wsi ludowego drzeworytu to naprawdę nielada odkrycie. A już nigdy prawio nie można ustalić jego autorstwa. Rzadko ludowy artysta podpisywał swoje twory. Tym nie mniej czasem udaje się etnografowi rozwiązać tajemnicę anonimowego obrazu. Wymaga to jednak żmudnych i długotrwałych badań. O takich właśnie poszukiwaniach pisze Maria Przędziecka.

Na północnych krańcach powiatu lubaczowskiego w województwie rzeszowskim leży w otoku pierścienia lasów mała osada. Jest nią Płazów — dotychczas siedziba gromadzkiej rady narodowej. Ostatnio jednak czynnik miarodajny postanowił gromadę płazowską zlikwidować i włączyć do sąsiadującej z nią Rudy Różanieckiej. Obywatele Płazowa żywo tym postanowieniem dotknięci wszczęli walkę o utrzymanie gromadzkiej rady w dawnym „mieście Płazonium” lokowanym w 1616 roku na równych prawach z Lublinem i Sandomierzem. Na poparcie słuszości swoich, jakże skromnych, rozczeń przedkładają oryginalny dokument z roku 1727

zawierający XVII-wieczną lokację miasteczka.

Miejski charakter Płazowa stwierdza również akt erekcyjny kościoła parafialnego wydany w 1639 roku oraz do dziś dobrze widoczne szachownicowe rozplanowanie osady: duży prostokątny plac przed obecnym kościołem murywanym, zapewne dawny rynek, z którego trzech narożników dziś jeszcze wybiegają pod kątem prostym po dwie ulice łączące się z innymi w układ drobnej szachownicy. Rynek ten sięgał zapewne nieco dalej w kierunku południowo-wschodnim aż do dawnej drewnianej fary, o której mowa w lustracji z 1765 roku. Niestety z osiemnastowiecznych zabu-



Oryginalny płazowski klocek drzeworytniczy ze zbiorów Muzeum Etnograficznego w Krakowie.



Odbitka pokazanego obok klocka, przedstawiająca postać Chrystusa siedzącego na tronie

dowań miejskich nie zachowało się dziś już nic — za wyjątkiem chyba okrągłych małych studni z łupanymi kamieniami. Jest ich kilka w wąskich i bogato zadrzewionych uliczkach bocznych.

Oprócz dokumentów i rozplanowania osady z obszernym rynkiem pośrodku, nic już nie przypomina dawnego świetnego zapewne istnienia „miasta Płazonium”, liczącego nie więcej mieszkańców niż przeciętna wieś. W tychże nielicznie zachowanych do dziś dokumentach brak jest — rzecz zagadkowa — wzmianek świadczących o tradycjach rzemieślniczych i handlowych. Czymże więc słynął Płazów?

Był czas, kiedy słynął on z kun-

sztu, którym nie mogły się pochwalić współczesne mu okoliczne miasteczka. Tu bowiem kwitło w pierwszej połowie XIX wieku (a może nawet wcześniej) drzeworytnictwo ludowe na wielką skalę, chociaż miejscowość — co ciekawsze — nie pretendowała do miana ośrodka pątniczego.

Żyjący jeszcze kościelny, 71-letni Michał Kostrzycki jest w prostej linii wnukiem ostatniego drzeworytnika płazowskiego Macieja Kostrzyckiego, który odbijał z rzeźbionych przez siebie klocków drzeworytniczych liczne obrazy świę-

DOKOŃCZENIE STR. 25

## KRAJOZNAWSTWO REGIONALNE

(dokończenie ze str. 13)

dę poważnie przeżywać, a nie traktowane jako nudne zakłócenie radości beztroskich wędrówek.

Jakie poważne zadania spadłyby na barki opiekunów czy przewodniczących kół krajoznawczych. Jednocześnie, jak dużą pomoc moralną i faktyczną doznaliby ci spośród nich, którzy prowadzą już obecnie lub prowadzić będą bardziej systematyczne studia na jakiegokolwiek tematy regionalne.

O takich studiach mówi się obecnie tu i ówdzie coraz więcej. Związek nauczycielstwa zamierza zorganizować odgórnie i dać nawet pewną podstawę materialną dla tych co prawdą drobnych i wycinkowych, ale jakże dla wielu części Polski pożytecznych prac analityczno-badawczych. Wiemy przecież dobrze, w jak wielkim zaniedbaniu materialnym i kulturalnym żyją ludzie w wielu miastach i miasteczkach naszego kraju, oraz jak powszechny musi być wysiłek, aby tę tzw. prowincję wyrwać z marazmu i biedy. W pracy tej nie może oczywiście zabraknąć i naszego udziału.

Program krajoznawstwa regionalnego powinien znaleźć odbicie w naszych wydawnictwach książkowych i czasopiśmiach. W tym zakresie widzę potrzebę ilościowego i jakościowego rozwoju publikacji typu monografii krajoznawczych. Publikacje takie mają już ustalone ujęcie i własną problematykę, które należy oczywiście każdorazowo dostosowywać i modyfikować w zależności od tych czy innych zagadnień, w tej czy innej części Polski wysuwających się na czoło. Widzę tu dużą

rolę dla aktywności intelektualnego nauczycieli geografii i historii z całego kraju.

Nasze czasopisma powinny również w większej niż dotychczas mierze uwzględnić aktualne życie różnych miast, miasteczek czy regionów kraju. Wiem, że jest to dość trudny odcinek pracy. Ze bardzo łatwo wpaść albo w jałowy krytycyzm, albo drętwość mowy; wszystkie gazety ciągle o tym teraz piszą i temat przejadł się już wielu czytelnikom. Dlatego też trzcha wypracować własny, regionalno-krajoznawczy punkt widzenia i własny sposób podawania odnośnych materiałów.

Tych kilka myśli na temat właściwego kierunku i tematyki pracy krajoznawczej ma na celu wskazanie niektórych możliwości rozszerzenia i pogłębienia naszej działalności. Byłoby to jednocześnie postęp naszego ruchu, większe związanie go z obecnym nurtem naszego życia społecznego. Byłoby to oryginalny wkład naszego pokolenia do rozwoju krajoznawstwa. Realizowalibyśmy go naszymi na nowo przemyślanymi metodami.

W ciągu lat ubiegłych umasowiony został w poważnym stopniu ruch turystyczny. Jest to niewątpliwie zasługa PTTK. Dla mnie osobiście nie jest przykry „widok stada turystów”, tak jak dla Przyjaciela dyskutującego w redakcji „Ziemi” na temat krajoznawstwa. Wiem jednak, że jest to w ogromnej większości „turystyka beztrefciowa”, a dla schronisk „nalot stonki”.

Ile razy widzę „stado turystów”, które jest zwykłym czymś gorszym niż wycieczka spotkana na Trzydniwiańskim Wierchu, to zawsze uświadamiam sobie że najwyższy już czas przystąpić do pracy nad nowymi szeroko pojętymi założeniami programowymi krajoznawstwa przede wszystkim regionalnego. Krajoznawstwa, które nie byłoby tylko beztroskim wycieczkowaniem, ale również poważnym ruchem społecznym.

## ZAMIAST ROZMOWY Z PRZYJACIELEM.

zamieszczamy na stronach 13 i 19 artykuł dyskusyjny Stanisława Berezowskiego, jakkolwiek nie ze wszystkimi tezami tego doświadczanego działacza krajoznawczego się zgadzamy. Właśnie bowiem o wszczęcie konstruktywnej dyskusji nam chodzilo, gdy w majowym numerze drukowaliśmy pierwsze „rozmowy”. Jednakże wśród wielu listów, jakie napłynęły do redakcji w związku z „rozmowami” — prawie wszystkie wyrażają tylko aprobatę inicjatywy lub potwierdzenie naszych poglądów. Czekaemy nadal na głosy przeciwników.





Autor artykułu — 36-letni historyk i anglista, interesuje się głównie dziejami Krakowa. W latach 1951—57 ogłosił szereg prac z tego zakresu. Początkowo kustosz Muzeum Historycznego m. Krakowa, obecnie odłunki Muzeum Śląskiego we Wrocławiu.

Rys. Tadeusz Smogo.

# WIELKI POŻAR KRAKOWA JULIUSZ DEMEL

W DZIEJACH KAŻDEJ NIEMAL MIEJSCOWOŚCI O DŁUŻSZEJ TRADY-CJI HISTORYCZNEJ POCZESNE MIEJSCE ZAJMUJE KRONIKA KLĘSK ELEMENTARNYCH. ŻYWIŁY POWIETRZA, WODY I OGNIĄ, NIOSĄCE ZARAŻE, POWODZIE, POŻARY, GŁÓD, CZĘSTO NAWIEDZAŁY LUDZKIE OSIEDLA. NEKAŁA JE I RĘKA LUDZKA CZASU WOJNY. POZOSTAWAŁY SPUSTOSZENIA I ZGLISZCZA, GROBY POMARŁYCH I ZABI-TYCH, NĘDZA ŻYWYCH I PEŁNE GROZY WSPOMNIENIA STRASZNYCH DNI, GDY MIESZKANIEC MIASTA CZUŁ SIĘ ZNIKOMYM PYŁEM LUDZ-KIM, BEZBRONNYM W OBLICZU ROZSZALAŁYCH WROGICH MOCY, NAD KTÓRYMI NAJCZĘŚCIEJ NIE MIAŁ JUŻ ŻADNEJ WŁADZY.

TAKŻE I WIEK XIX, EPOKA SZYBKIEGO POSTĘPU TECHNICZNEGO I WIELKICH OSIĄGNIĘĆ CYWILIZACJI LUDZKIEJ, NIE BYŁ WOLNY OD WYDARZEŃ PRZYPOMINAJĄCYCH RAZ JESZCZE NAJCIEŻSZE PRZEJŚCIA I DOSWIADCZENIA LUDZI POPRZEDNICH STULECI.

## DREWNIANE DACHY

Miasto było niewielkie, zaledwie czterdzieściosięć tysięcy. Przedmieścia, od-dalone od rynku o kilka minut drogi, zabudowane były w przeważnej części parterowymi, drewnianymi domkami, położonymi wśród ogrodów, a nierzadko jeszcze i pół uprawnych. Lecz i w śródmieściu na każdym prawie kroku można było napotkać drewniane zabu-dowania służące jako składy towarów, szopy na siano i złom, wozownie. Ry-nek po obu stronach średniowiecznych murowanych kramów kupieckich zaj-mował malowniczy labirynt drewnia-nych bud i przybudówek, kramów i straganów. Wnętrze kamienic kryły całe mnóstwo konstrukcji drewnianych. Schody, poręcze, stropy, ganki obie-gające podwórza, zrobione były z drze-wa. Gdyby zaś wówczas z którejś spo-śród licznych wiczy górujących nad miastem spojrzeć na widniejące w dole dachy stłoczonych domostw, ogromną większość przestrzeni zajęłyby zczernia-łe od starości poszycia z drewnia-nych gontów. Gdziekolwiek tylko zaja-śniałyby barwniejszą plamą wysypki czerwonej dachówki lub zielonej, za-śniedziałej blachy. I to miasto, nara-żone w wypadku pożaru na straszliwe niebezpieczeństwo, nie miało jeszcze przed wiekiem stałej, zawodowej stra-ży pożarowej.

W opisie tym trudno by dopatrzeć się obrazu Krakowa, tak bardzo od-biega on od dzisiejszej rzeczywistości tego miasta. A jednak przed stu laty tak właśnie wyglądał Kraków. Nawet dachy Sukiennic i niektórych kościo-łów pokryte były gontami. Przywozili je całymi wozami górali z Podhala i sprzedawali na targowicy klepańskiej.

## POLICJA OGNIOWA

Gdy na ulicach dzisiejszego, nowo-cześniejszego miasta usłyszymy przeciągły zawodzący sygnał, poznamy od razu, że nadjeżdżają samochody straży pożar-nej. Zachowujemy wtedy większą niż zwykle ostrożność, aby nie dostać się pod koła szybko mknących wozów. Poza tym nie zwracamy na tego rodzaju wydarzenia baczniejszej uwagi. Tylko najbardziej roztargnieni zadrżą przez chwilę na myśl, że to oni mogli zostawić w domu niezwykłe żelaz-ko lub maszynkę elektryczną. Mało kto jednak z przechodniów zapyta, gdzie i co się pali, a skoro już dowie się, że wypadek nie dotyczy jego ulicy, spokoj-nie idzie dalej. Tak dalece jesteśmy przekonani, że dzisiejsza, sprawna i zaopatrzona w nowoczesny sprzęt straż ogniowa da sobie radę z każdym pożarem. Przywykliśmy do uspokaja-jących zwrotów z dziennikarskich kro-

nik miejskich: „ogień stłumiono w za-rodku”. „pożar zlokalizowano”.

Inaczej rzecz się miała w Krakowie połowy ubiegłego wieku. Obrona przed pożarem polegała głównie na samopo-mocy mieszkańców. Na odgłos dzwonu z wiczy mariackiej, którym dawano znać o ukazaniu się ognia, każdy wła-ściciel domu winien był wysłać na za-grożone miejsce swoją służbę, zaopa-trzoną w wiadra, osłki, sickiery i dra-biny. Cechy rzemieślnicze wyznaczały czeladników do obsługi kilku miejskich sikawek. Wodę mieli dowozić piwowa-rzy z Wisły i Rudawy. Miasto nie miało bowiem wodociągu, a studnie nie wystarczały na potrzeby obrony prze-ciwniowej. Dorożkarze zobowiązani byli wypożyczać konie na czas trwa-nia akcji ratowniczej.

Niczytet, mieszkańcy miasta lekcewa-żyli sobie od dawna wszystkie te i tak nie wystarczające zarządzenia. Rze-mieślnicy nie stawiali się na ćwiczenia straży, które odrywały ich od zwykłych zajęć zarobkowych. Dorożkarze na od-głos dzwonu pożarowego ujeżdżali z ry-nku, co koń wyskoczy. Właściciele do-mów niechętnie wypożyczali sprzęt do obrony w obawie, że zabraknie go gdy ich posiadłość zostanie zagrożona przez ogień. Sikawki miejskie były stare, za-niedbane, często się psuły, a strumień wody z nich nie sięgał wyższych pięter. W braku dobrego wyposażenia i wy-ćwiczonej stałej straży pożarnej, obro-na była bardzo prymitywna. Zrywano drewniane dachy, zalewano płomień wodą, najczęściej wprost z wiader, po-dawanych z rąk do rąk przez szeregi ochotników. Ratowano ludzi i co cen-niejsze przedmioty, wyrzucając je ok-nami z zagrożonych mieszkań.

Pomimo jaskrawego lekceważenia najbardziej elementarnych zasad i przepisów bezpieczeństwa ogniowego, mimo gromadzenia w domach i na pod-łazach całych składów różnych łatwo-

palnych materiałów, Kraków przez długie lata miał wyjątkowe szczęście i od czasu konfederacji barskiej nie zznał większej klęski od ognia. Ów-czesny historyk Krakowa, Ambroży Grabowski, dziwił się wielce, że w tych okolicznościach miasto jego nie gorzało regularnie co jakiś czas wraz ze wszystkimi przedmiotami. „Za mojej pamięci” — pisał w swych wspomnieniach z czasów Wolnego Miasta Józef Loui — „nie było przy-kładu, żeby kiedy więcej zgnęzło jak ta jedna kamienica, w której się ogień rozpoczął”. Nic też dziwnego, że z bie-giem lat coraz bardziej nie doceniano niebezpieczeństwa, a po roku 1840, gdy mieszczaństwo krakowskie po przy-łączeniu miasta do Austrii znalazło się w trudnym położeniu materialnym, przestano w ogóle ubezpieczać domy od ognia.

## OGIEŃ NA KRUPNIKACH

Nadeszła jednak na koniec strasna chwila, gdy wszystkie dotychczasowe zaniedbania zemścić się miały dotkliwie na mieszkańcach Krakowa. 18 lipca 1850 roku dzień był pogodny i upalny. Około południa na wiczy mariackiej uderzono w dzwon na trwogę. Paliły się młyny przy ulicy Krupniczej, zwa-ne dolnymi, położone nad Rudawą, która wówczas jeszcze tamtędy płynęła. Tłum ludzi pospiechał na ratunek za-grożonej dzielnicy. Ogień szerzył się jednak niebywale szybko, przerzucając się na sąsiednie zabudowania. Mimo całego wysiłku w krótkim czasie spło-nęło 9 domów. Zdołano ocalić tylko ludzi i niewielką część rzeczy pogo-rzelców.

## GORE ŚRÓDMIEŚCIE

Gdyby ówczesna krakowska straż pożarowa była należycie zorganizowana, a mieszkańcy lepiej mieli się na bacz-



ności, całe nieczyste skończyłyby się na tych kilku drewnianych domkach przedmiejskich. Ale w zamieszaniu wywołanym pożarem i przy oślepiającym, lipcowym słońcu nie zauważono, że tymczasem silny wiatr południowo-zachodni przerzuca w stronę śródmieścia, przez ogrody i Planty, kawałki płonących gontów, papierów, szmat, zwęglone ziarna zboża i orzechy złożone w płonącym młynie i sąsiednich domach. Gdy pożar na Krupnikach już dogasał, a tłum zaczął się rozchodzić do domów, nagle rozszalała się wieść, że płonie drewniany dach kamienicy u zbiegu ulicy Golebkiej i Plant. Rzucono się w tę stronę na pomoc zagrożonemu śródmieściu. Ale mimo wyjątkowej obrony nie udało się już stłumić szalejącego żywiołu. Ogień ogarnął sąsiednie domy. Z tą chwilą los całej części miasta położonej na linii wiatru był już właściwie przesądzony. Pożar niszczącą falą szalał ulicą Golebą i Wiśną. Przechwile płomienie ukazywały się na dachu uniwersyteckiego Collegium Maius. Dzielna młodzież akademicka pod dowództwem profesorów Muczkowskiego, Pola i Kuczyńskiego, dzięki swej wielkiej ofiarności i sprawności, zdolała ocalić gmach starożytnej uczelni jagiellońskiej i całą ulicę św. Anny. Lecz po przeciwnej stronie pożar szerzył się niezmierznie szybko. Pochłonił Drukarnię Uniwersytecką i kościół unicki św. Norberta, Szkołę Techniczną, wdarł się do Pałacu Biskupiego, a stąd poprzecz szerokość ulicy Franciszkańskiej do kościoła i klasztoru franciszkanów. Obszerne te gmachy spłonęły podobno w kilkanaście minut. „Ten dzień 18 lipca” — pisał w swoich wspomnieniach A. Grabowski — „był prawie dniem sądu Bożego. Dym i płomienie osiadły nad całym miastem i zasłoniły przed wzrokiem całe niebo... Wicher szalał, niosąc pałace się głowic, gonty, iskry, zasypując nimi dachy domów... i rozrzucając to zarzewie aż na pola od miasta odległe. Trzask palących się gontów, huk upadających dachów... płacz, krzyk, lament ludzi unoszących w popłochu rokoś w nagłości i rzeczy swych pochwyć... wołanie ludzi ratujących: wódyl wódyl... było to tak okropne, że przebodła możliwość opowiedzenia lub opisania... i nie wyobrazi sobie tego nikt, kto naocznych nieszczęścia tego nie był świadkiem”.

## PODPALACZE?

Płomienie nazywały się ro chwila w różnych stronach dzielnicy, nierzadko równocześnie. Przerazenie ogarnęło zaskoczonych i bezbronnych mieszkańców. Po mieście poszły najstraszniejsze wieści. Mówiono coraz głośniejsze, że miasto zostało podpalone. Zapewniano, że schwytano już kilku podpalaczy, że znaleziono przy nich materiały potrzebne do podłożenia ognia. Rozpaczony tłum dawał łatwo posłuch wszystkim tym pogłoskom, i omal, że nie dopuścił się zamasz nad kilku podejrzanyymi ludźmi. Pod wpływem niedawnych przeżyć 1846 i 1848 roku uważano pożar za początek jakiejś nowej akcji politycznej. Późniejsze śledztwo wykazało właściwą przyczynę pożaru. Wybuchł on skutkiem nicostroznego obchodzenia się z ogniem dwóch robotników pracujących we młynie, a wiatr i susza sprzyjały niezwykle gwałtownemu szczeniu się pożogi. Podpalaczy nie znaleziono, schwytano natomiast złoczyńców, którzy wykorzy-

stując zamieszanie — często pod pozorem niesienia pomocy — kradli co i gdzie się dało, dopuszczając się nawet rabunkowych napadów. Ofiarą takiej brutalnej napaści miała być matka Heleny Modrzejewskiej. Wielka artystka opowiada o tym w swoich wspomnieniach, obejmujących w jej dzieciństwie bombardowanie Krakowa w r. 1848 i wielki pożar roku 1850.

## WALKA Z ŻYWIOŁEM

Wyruszone długimi upałami dachy zajmowały się łatwo od niesionego wciąż wiatrem zarzewia. W płomieniach stanęła ulica Bracka i południowa część rynku. W strasliwym żarze topiły się blachy rynien i dachów, dzwony kościelne. Ratunek był już zupełnie niemożliwy. Brakowało sprzętu, a w końcu i ochotników do walki z rozszalałym żywiołem. Z pobliskich miejscowości, nawet z za kordonu granicznego, sprowadzono tamtejsze straż pożarną. Na komorze granicznej w Michałowicach znalazł się jakiś niezwykły urzędnik pełen inicyjatywy, który przepuścił wocy straż pożarną z Królestwa Polskiego „nie czekając rozporządzenia władz wyższych”, co z podziwem podkreślano w prasie. Mieszkańców coraz częściej musieli zastępować w akcji ratowniczej żołnierze, policja, Żydzi z Kazimierza i podkrakowscy chłopcy. Jednych zmęczyła już zupełnie długotrwała walka z ogniem, inni, których domy nie były zagrożone, nie kwapili się do ciężkiej i niebezpiecznej pracy. Pomimo wielu wysiłków na linii wiatru zdołano ocalić zaledwie kilka domów. W południowej części rynku zostały się kamienice Wentzów i Jabłonowskich. Nie zdołano natomiast zapobiec przerzuceniu się ognia na pałac Wielopolskich, w ulicę Grodzką i na plac Dominikański (zwany wówczas ulicą Szeroką). Płomień ogarnął wkrótce kościół św. Trójcy wraz z wieżą, stojącą wówczas jeszcze przed nim, a stąd przeszedł na klasztor w ulicę Stolarską, aż po Mały Rynek. Tu zdołano powstrzymać ogień na linii ulicy Siennej. Po drugiej stronie dzielnicy, dzięki ofiarnym wysiłkom kilkudziesięciu ludzi, powstrzymano falę ognia na skraj ulicy Poselskiej (zwanej wówczas ulicą św. Józefa). Wiatr przerzucił masę płonącego zarzewia raz jeszcze poprzecz Planty, pożar pochłonił kilka drewnianych domków rzemieślniczych „za Nową Bramą”, około późniejszego Wielopola, i strawiwszy wszystko na swej drodze oparł się niemal u koryta Starej Wisły, płynącej wtedy późniejszymi ulicami Dietla i Daszyńskiego.

## POŻAR KLEPARZA

Dopiero późnym wieczorem siła wiatru i ognia osłabła. Setki pogorzelców zaległo Planty wśród resztek ocalałego dobytku. Nocą i jeszcze w ciągu kilku następnych dni płomień odradzał się po wielokroć z ogromnego pogorzeliska, lecz szczęśliwie za każdym razem udało się przytłumić wznowiającą się pożogę. Mieszkańcy Krakowa byli już zupełnie pewni, że to nareszcie koniec niebezpieczeństwa i ich wielkiego nieszczęścia.

Nagle 26 lipca, wybuchł drugi pożar, tym razem od strony północnej miasta, na Kleparzu. Nad Krakowem zawisło ponownie groźne niebezpieczeństwo, gdyż właśnie na tym targowym przedmieściu znajdowały się od lat



Panorama wypalonego śródmieścia Krakowa, widziana z dołu kościoła dominikanów, wg. dziewiętnastowiecznego sztychu.

wielkie składy zboża, słomy, spirytusu, smoly i innych łatwopalnych materiałów. Tym razem jednak ratunek był już szybki i skuteczny. Spłonęło tylko 6 domów drewnianych, kilka innych niemal zupełnie rozebrano aby zapobiec rozszerzeniu się ognia. Ocaliło to całą północną część śródmieścia, którą ominęła katastrofa 18 lipca.

## NA POGORZELISKU

Kłęska była wielka i dotkliwa. Zgórzało przeszło 150 domów mieszkalnych, przeważnie śródmiejskich kamienic, 4 kościoły, 2 klasztory, 2 okazałe pałace. Z dymem poszedł dobytek około 1000 rodzin krakowskich. Spaliło się wiele warsztatów i sklepów. Ogień pochłonił całkowicie Szkołę Techniczną, Drukarnię Uniwersytecką, księgarnię Checha i Friedleina. Ciężką stratą dla kultury miasta i całego kraju był pożar zabytkowych kościołów, gdzie w płomieniach uległo zagładzie wiele cennych dzieł sztuki i pamiątek historycznych, pomników, nagrobków, obrazów, pochodzących po części z średniowiecza. Ogień pochłonił 2 bogate biblioteki klasztorne, zawierające wiele rzadkich starych druków polskich i obcych, a także cenne rękopisy i dokumenty średniowieczne. Silny podmuch wiatru niosł te przetrzałe karty

daleko za miasto, i znajdowano je później w Wieliczce, a nawet i dalej. Zniszczało szereg cennych zbiorów prywatnych. Spośród ludności 5 osób straciło życie w pożarze, a wiele odniosło rany i oparzenia w czasie akcji ratowniczej.

Nie też dziwnego, że pierwsze wrażenie po klęsce było wprost wstrząsające. Nie brakło ludzi twierdzących stanowczo, że spustoszona dzielnica nigdy już nie podniesie się z ruiny. Życie okazało się jednak bardzo szybko silniejsze niż te początkowe głosy zwątpienia i rozpaczy.

## POMOC I ODBUDOWA

Z wszystkich stron rosnącego zaborami kraju, z emigracji, a także i od cudzoziemców napływały hojne dary na pogorzelców. Umożliwiło to zorganizowanie wydawniczej pomocy dla ofiar klęski. Rozdział tych sum był jednak wysoce niesprawiedliwy, najzamożniejsi otrzymali najwięcej. Właściciele domów uzyskali pomoc pieniężną w wysokości blisko 40% wartości spalonych obiektów.

Uzyskana w następnym roku potyczka państwowa umożliwiła szybką odbudowę pogorzelisk dzielnicy. Już w kilka lat po pożarze tylko nieliczne ślady świadczyły jeszcze o niedawnej

Spalony kościół dominikanów wg. litografii wykonanej bezpośrednio po pożarze.





klęsce. Kamienice dźwigały się prędko z ruin, najwcześniej i najokazalej przy Rynku i ulicy Grodzkiej. Korzystając ze sposobności, wprowadzono szereg zmian w budownictwie. Zwrócono baczną uwagę na zabezpieczenie domów przed ogniem, dachy pokryto w znacznej części blachą, dachówką lub łupkiem. Małe kamieniczki łączono często razem, przebudowując je na obszerniejsze domy. Zniesiono wiele dawnych szerokich sieni i bram wjazdowych. Przeprowadzono regulację ulic Grodzkiej i Franciszkańskiej, wyprostowując je i poszerzając.

## MĄDRY POLAK PO SZKODZIE

Zreorganizowano także krakowską straż pożarną, zaopatrując ją w lepszy sprzęt techniczny. W kilkanaście lat później (1865) założono stałą straż ochotniczą, następnie (1873) zawodową straż miejską, która zapewnia miastu o wiele większy stopień bezpieczeństwa od ognia, aniżeli dawna „polica ogniowa” w czasie ostatniej wielkiej klęski pożaru 1850 roku.

JULIUSZ DEMEL



U góry: najnowocześniejsza drabina krakowskiej Straży Pożarnej.

Obok: strażak w hełmie z czapów austriackich. Fot. Zbiłgiew Łagocki.

FRANCISZEK JAKUBOWSKI



# POCZHALTERZY I POCZHALTERIE

Do połowy XIX wieku jedyną siłą pociągową stanowił koń. Stąd też sprawa koni była dla instytucji pocztowej jednym z najważniejszych problemów, który można było rozwiązać w dwojaki sposób; albo utrzymywać własne konie, albo też, co oczywiście było wygodniejsze, korzystać z rucznych.

Twórcy poczty nowożytnej, zakładając pierwsze kursy pocztowe, przyjmowali posłańców z końmi, za co płacili im po 8 guldénów miesięcznie. Gdy jednak z rozwojem ruchu pocztowego musieli utrzymywać na stacjach więcej koni, wspomniany sposób już nie zadawał. Poczęli się więc rozglądać za przedsiębiorcami przewoźnymi, którzy by zgodnie z umową dostarczali potrzebnej ilości koni, wozów oraz obsługi. Przedsiębiorców takich nazywano posthalterami. Nie, byli to jednak „utrzymujący pocztę”, lecz „utrzymujący konie pocztowe”. Łaciński wyraz *post* (niemiecki *post*) w pierwotnym znaczeniu oznaczał nie instytucję, lecz konie rozstawne, jak to czytamy w przywileju Zygmunta Augusta, nadanym Prowanie w roku 1558: „...postam, ut vocant. equos dispositos...” (...pocztę, jak zowią, konie rozstawne...).

Poczhalterzy, o ile nie mogli korzystać z obiektów pocztowych, musieli mieć własne lub wydzierżawione pomieszczenia na poczhalterie (zajazdy), musieli mieć potrzebne stajnie i szopy. Dlatego też na poczhalterów wybierano osoby, które miały gospodarstwo. W dniach miastach, oraz tam, gdzie nie można było znaleźć odpowiedniego przedsiębiorcy, władze pocztowe utrzymywały własne konie, albo zobowiązywały poczmistrzów względnie kierowników stacji pocztowych, poczwertków, by oni sami, na własny rachunek i z własnymi ludźmi i końmi prowadzili poczhalterie.

Poczhalterzy nie należeli do personelu pocztowego, nie mniej podobnie jak niektórzy oficjaliści, składali kaucje w wysokości rocznych dochodów. Dochód zaś poczhaltera w Królestwie Kongresowym składał się z wpływów za konie, wynajęte dla ekspozycji, kurierów i sztafet, (tj. umysłnych posłańców) oraz z opłat za przewóz poczt

etatowych, do których zaliczali się poczty osobowe, wozowe, wózkowe i konne. Opłata od konia na milę wynosiła dwa złp. Poczhalterzy wpłacali pewien procent od dochodów swoich na fundusz wysłużonych pocztylionów oraz na rzecz skarbu (15 gr. od każdego 6 złp.).

W rotach przysięg składanych przez poczhalterów czytamy między innymi: „...szczególnie zaś dla powierzonej mi teraz Poczhalterii w... w należytej i potrzebnej liczbie koni dobrych, mocnych i zdrowych opatrzyć się i takowe zawsze utrzymywać przyrzekam; tudzież o poczwierkach, pewnych i pijaństwu niepodległych Pocztylionów starać się przez tychże wszelkie jazdy pocztowe, wozowe i konne, jako też odsyłanie Kurierów i Sztafet w należyty porządek pełnić...”. Ponadto poczhalterzy przysięgali, że będą sprawować się, jak przystoi na wiernego i pilnego poczhaltera. Poczhalterowie mieli obowiązek zaopatrywać się w owies na św. Marcina i Boże Narodzenie, zaś w siano w sierpniu lub z początkiem września.

Nadzór nad poczhalterami sprawowali poczmistrzowie. Mieli oni baczność, czy środki przewozowe są odpowiednie, czy pocztylioni są przepisowo ubrani, czy ustalony czas przewozu nie jest przekraczany itd. Oprócz tego stalego nadzoru poczmistrz miał obowiązek raz w roku przeprowadzić gruntowną inspekcję poczhalterii, a w szczególności miał sprawdzić liczbę pocztylionów, koni, stan ubioru pocztylionów, stan bryczek pocztowych, uprząży itd. Również ekspedytorzy (poczwertery) mieli obowiązek pilnować poczhalterów i pocztylionów.

W Wolnym Mieście Krakowie przewozu poczty dokonywała poczhalteria, którą odstępowało dyrektorowi poczty. Po śmierci dyrektora wdowie jego zamiast pensji pozostawiono poczhalterię, którą ona z kolei wydzierżawiła komuś innemu. Jednak to odłączenie poczhalterii od zarządu pocztowego źle oddziaływało na ruch pocztowy. Totem rząd odebrał poczhalterię wdowie, której oddał wypłacał pensję wdowią, a poczhalterię oddał nowemu dyrektorowi.

Wzory płaszczy pocztylionów Królestwa Polskiego.



# DAWNY PIESKI SŁOWNIK MYŚLIWSKI

Z DAWNYCH KRONIK  
I INNYCH ZABYTEKÓW  
PIŚMIENICTWA



Zdjęcia: Wojciech Plewiński i Fr. M. Szczepański.



....Różne ma nazwy pies; to gatunkowe jako: brytan, kudel, ogar, chart, gończy wyżeł, jamnik, wijkawka. To przymiotowe jako: mistrz (bardzo zręczny), balamut goniący lada co głosem, bydlarz porywający się do bydła, zapasnik, lgarz itp. To wedle kształtu, barwy głosu, albo usług jakie pełni: szpilka; pałasz, cygan, płaczek, gęśla, duda, podsokoli strzemienny. Głowa jego jest twarz, pysk trąh; zęby u charta szpilki, ogon kitą, powonieniem pach albo wiatr, przymioty enota. Odzywianie się goniąc — graniem. Pies spaciwa, to jest przeczuwa zwierza; rusza; wypędza; goni po zwierzu, po tropie; albo na oko, kiedy gra, spostrzegłszy tylko. Zławia — odzywa się, nie widząc zwierza. Zacięra ślad; unosi się, na ślad wybiega, wiatrem goni — tylko za wyziewem zwierzęcia w powietrzu rozlanym. Trzyma, długo goni; ucina, gdy przestaje gonić. Zalewa się, kiedy pysk w rosie macza, dłużej kiedy źle goni. Zbija — jeden drugiego przeganiania. Wyrzuca — wypędza inne. Bucha — w śnieg zapada; kopnął się, kiedy wyskoczył ze śniegu, albo jamy. Pudło (mydło) wozi — z tyłu zostaje. Dociera — dogania. Praruje, albo już dopracował się — dogonił. Wyżeł waruje, bobruje, na brzuchu kładzie; dzwoni, ogonem macha, mamla — ino oszczekuje zwierzynek; znosi — przynosi z wody. Psy się odzywają różnymi głosami na rozmaitego zwierza, to grubszym, to cieńszym, altm, basem, dyskantem, drżaco, rzewnie, zapalczywie, albo cukrują, tj. głosem przyjemnym. Na lisa żarliwie grają jak na zająca, za pierwszym gonią szcurem, tj. linią prostą, za drugim krzywą.

Charty się smyczą, gończe sforują, kundłe drózkują. Zgraja, łaja — jest psów gromada; luzem idą, kiedy nie powiązane. Pancierz jest ubiór na pierś zabezpieczający od dzika; pierścień, naszyjnik — kolczata obroża. Wprawa — nauka psom dawana. Odprawa są skoki zajęcze, chleb w kostki krąjany, lub inny pokarm dawany psom po uszczuciu zwierzyzny. Nawara — pokarm zwyczajny robiony z maki owsianej z dodaniem chleba, nóżek baranich lub mięsa. Pies w koszyku leży, kiedy w kółko zwinięty wypoczywa. Dobry i zdrowy pies w gorąco rozeźniony, a w eblodzie w koszyku leży. Kotłowy jest dozorca psów i wprawiający je. Suka po zapłodnieniu przez trzy tygodnie używana być może. Z młodem bardzo ostrożnie postępować należy, aby nie zarazić, nie osłabić, a zawsze z dobrymi psami układać. Psy miewają najrozmaitsze choroby, jako febrę, skwinację, zapalenie gardła, splec — gatunek kuru z przeziębienia, na który spirytusy rozgrzewające pomagają; podbicie, na które ciepła kąpiel pomocna; parchy — dobra na nie woda z liści orzecha włoskiego wygotowana, albo maść siarczana. Wszk, którą wycierają prochem strzelniczym. Rany, z których się zwykle same wylizują i stąd nasz sposób mówienia: wylizal się. Wytecz — wykrzywienie nóg. Wścieklizna, krwotok, kaszel, robaki, nosaczina, lecz tu nie miejsce obszerniej się nad tem rozwódzić...

Wyjątek z rozprawki J. hr. Dunin-Borkowickiego „O polskim języku łowieckim i o świecie łowieckim”, zamieszczonej w „Muzeum Domowym”, Warszawa 1836 r.

## KSIĄŻKI

Biasse Aleksy: Przewodnik po katedrze Goleźnińskiej — Poznań 1957, „Albertinum” s. 65, 3 nrb. (Gniezno — kalendarz — przewodnik).

Dąbrowski Zygmunt: Technika na wycieczkach i obozach — Warszawa 1957, Państw. Zakł. Wydawn. Szkol. a. 102, 2 nrb., ilustr. (Wczasy młodzieżowa i wycieczki — poradnik).

Dziesięć wieków Poznania. (Praca zbiorowa). t. 1. Dzieje społeczno-gospodarcze. s. 344. t. 2. Kultura umysłowa, literatura, teatr i muzyka. s. 311. t. 3. Sztuki plastyczne. s. 349. Muzeum Narodowe w Poznaniu. Poznań, 1956—57. Cena zł 200.

Kowalski Wacław: Dolina wielkich jezior mazurskich. Przewodnik turystyczny. Warszawa, 1957. Sport i Turystyka a. 143, 1 nrb., mapa 1. Cena zł 8.05.

Molty Marcell: Przechadzki po mieście — Warszawa, 1957, Państw. Instytut Wydawn.

s. 649, 2 nrb., tabl. 10, poritr. 6. Cena t. 1/2 zł 70. (Wielkopolska — pamiątki — XIX w.)

Nowa Nota, 1: Stefan Nosssek: Czasy najdawniejsze — Kraków 1957. Tow. Miłośników Nistorii i Zabytków Krakowa a. 28, 1 nrb., tabl. 15, mapa 1, pl. 1. (Archeologia).

Popiołek Oswald Stefan: Sprawy i wydarzenia opolskie. Szkic z dziejów ziemi opolskiej — Katowice, 1957, „Śląsk”. a. 186, 2 nrb., ilustr. Cena zł 6.

Piskorski Czesław: Na wyapę Wollu. Szlak krajoznawczy — Szczecin-Międzyzdroje-Dziwnów. — Warszawa, 1957. Zarz. Gł. PTTK, a. 10, 2 nrb., mapa. (Przewodnik).

## M A P Y

Krygowski Władysław: Bieszczady. Szkicowa mapa szlaków turystycznych. (Lalo). Wykonał W. Maculewicz wg materiałów Komisji Turystyki Górskiej ZG PTTK. Skala 1:100 000 Warszawa, 1956. Sport i Turystyka. (Na od-

wrocie mapy: Najważniejsze wiadomości o Bieszczadach; turystyka w Bieszczadach).

Jezioro Śniardwy. Mapa turystyczna. Podziałka 1:75 000 Warszawa 1957. Państw. Przedsiębiorstwo Wydawn. Kartogr. Cena zł 10.

Mapa Polski. Podziałka 1:500 000 Warszawa, 1957. Centralny Urząd Geodezji i Kartografii Państw. Przedsiębiorstwo Wydawn. Kartogr. cm 23,5 X 16,5 s. 133.

Tatry i Pieniny. Mapa turystyczna. Podziałka 1:75 000 Warszawa 1957. Państw.

Przedsiębiorstwo Wydawn. Kartogr. koloi. Cena zł 10. Oprac. Państw. Przedsiębiorstwo Wydawn. Kartogr. przy współpracy Urzędu spraw geodezji i kartografii — Praha.

Plan miasta Wrocławia. Warszawa 1957. Państw. Przedsiębiorstwo Wydawn. Kartogr. kolor. Cena zł 10.

Plany „Trójmiasta”: Gdańsk, Nowy Port, Wrzeszcz, Oliwa, Sopot, Gdynia, Orłowo. Mapy Kack. Gdańsk, 1957, Polsk. Tow. Turyst. — Kraj. Odeś. „Trójmiasto” cm 14 X 10,5 s. 67, pl. 5. Cena zł 11.

## RECENZJE

### BÓŻNICE DREWNIANE



Przeglądając karty starannie wydanej książki — trudno powstrzymać się od uczucia głębokiego żalu. Oto, utrwalone w licznych fotografiach i rysunkach okazale i wymyślne w swych kształtach budowle, będące w wielu wypadkach swego rodzaju arcydziełami sztuki cichelskiego, jednocześnie w swym charakterze tradycyjne elementy ludowego budownictwa polskiego i urokiem swoistej egzotyki — już nie istnieją. Ich wnętrza, idobne bogatą dekoracją kryły niejednokrot-

nie nie były jakie skarby sztuki — wszystko to należy już do bezpowrotnej przeszłości.

Specyficzny charakter zabytków żydowskich, ich bogactwo i wartość artystyczną dostrzeżono przed z górą sześćdziesięciu laty; już wtedy sztuka religijna Żydów w Polsce stała się przedmiotem zainteresowań pojedynczych badaczy. Jednakże zasadnicze braki w zestawieniu dorywczo zebranych materiałów nie pozwalały na opracowanie systematyki tematu. Dopiero w latach dwudziestych z inicjatywy profesora Oskara Sosnowskiego, założyciela i kierownika Zakładu Architektury Polskiej Politechniki Warszawskiej, przy wybitnym udziale historyka sztuki Szymona Zajczyka — zapoczątkowana została szeroko zakrojona akcja inwentaryzacji bóżnic w Polsce, obejmująca wykonywanie pomiarów architektonicznych, zdjęć fotograficznych i prowadzenie badań archiwalnych. Prace te przyniosły pokaźne materiały naukowe.

Wojna zadała tej pracy dotkliwie ciosy. W latach 1939—44 nie tylko zginęli jej inicjatorzy, lecz przepadła znaczna część materiałów, przygotowywanych już do publikacji. Równocześnie zniszczeniu uległy wszystkie bóżnice, a z ich wyposażenia zachowały się tu i ówdzie zaledwie niole resztki.

Ocalona część materiałów stała się fundamentem dzieła, które w zakresie ograniczonym do architektury bóżnic drewnianych opracowane zostało przez Marię i Kazimierza Piechotków, długoletnich pracowników Zakładu Architektury Polskiej. Książka dzieli się zasadniczo na dwie części: pierwsza zawiera zwięzłe rozdziały dotyczące osadnictwa Żydów w Polsce, szarys ogólnej linii rozwoju architektonicznego bóżnic, wreszcie omówienie zabytków budownictwa drewnianego. Część druga obejmuje uporządkowany alfabetycznie materiał ilustracyjny i krótki katalog wymienionych obiektów.

Specyficzny charakter publikacji, obejmującej wyłącznie dawne materiały, bez możliwości uzupełnienia nowymi, czy zastąpienia gorszych fotografii lepszymi — wytrącić musi broń z ręki ewentualnych krytyków. Dla-



Nieistniejąco już dziś bóżnica drewniana w Rybotycach (pow. przemyski) wg. fotografii archiwalnej.

go w tym miejscu ograniczyć się wypadnie do kilku ogólnych uwag. I tak, dobrze się stało, że autorzy przekroczyli granice polityczne, publikując obiekty należące bezsprzecznie do wspólnej grupy. Również w części tekstowej, poszerzenie treści rozprawy o omówienie rozwoju architektonicznego bóżnic, bez ograniczania się do ściśle określonego tematu książki, wyszło s pożytkiem dla czytającego.

„Budownictwo i Architektura” postawiło stronę wydawniczą książki na dobrym poziomie. Odnosi się to także do dobrej techniki druku, w którym nawet niektóre słabsze a potrzebne fotografie archiwalne wypadły zadowalająco. Bezspornym błędem układu graficznego było jednak umieszczenie najlepszych zdjęć (w sześciu przypadkach) na zszytych „rozkładówkach”, co po wykonaniu oprawy całkowicie je zniszczyło.

Wreszcie, może udaloby się Autorom opublikować jeszcze inne obiekty, których fotografie można było uzyskać. Jako skromny przyczynek zamieszczamy takie właśnie zdjęcie.

Książka „Bóznice drewniane” to bardzo cenna i bezkonkurencyjna pozycja bibliograficzna, potrzebna nie tylko historykom sztuki czy architektury, lecz każdemu miłośnikowi kultury, i zabytków Polski. Obok postulatów wydania dalszych publikacji z problematyki sztuki żydowskiej — dołączyć należałoby życzenie utworzenia wreszcie w naszym kraju Muzeum Sztuki Żydowskiej, którego realizacja jakoś nie może doczekać się urzeczywistnienia.

(MK)

• Maria i Kazimierz Piechotkowie: Bóznice drewniane, Warszawa 1957, nakł. Budownictwo i Architektura, cena 30 zł.

## KASZĘBĖ

Pojawiło się nowe pismo — „Kaszëbë” — organ Zrzeszenia Kaszubskiego. Pismo znajduje się „in statu nascendi”, wychodzi na razie nieregularnie jako wydania specjalne (do września 57 ukazały się dwa numery), ale niebawem już ma być przemienione na tygodnik.

Trudno jest oczywiście przesądzać już dziś, czym pismo to będzie w przyszłości; można natomiast powiedzieć już dziś że zapowiada się ono bardzo ciekawie.

„Kaszëbë” — redagowane w języku polskim, a zamieszczające także artykuły i wiersze pisane dialektem kaszubskim — interesuje się wszystkim, co dotyczy spraw regionu. Historią i ekonomią, obyczajem i sztuką, etnografią i kulturą regionalną. Tym, co było dawniej — i sprawami jak najbardziej aktualnymi.

Po raz pierwszy po ostatniej wojnie usłyszeliśmy niefałszowany głos Kaszubów, mówiących o swojej ziemi i jej sprawach — żywo, trzeźwo i mądrze. Ten głos jest bardzo dla nas cenny. Mamy bowiem wiele niewyrownanych rachunków z mieszkańcami tej ziemi — i nie oni są dłużnikami w owych rozrachunkach. Wystarczy przeczytać chociażby bardzo spokojną i powściągliwą relację T. Bolduana, opisującego w 2-gim n-rze pisma skan-

daliczne praktyki zmierzające do wyniszczenia ostatka Słowińców na Pomorzu Zachodnim — aby się o tym przekonać. To, czego nie zdołały osiągnąć ani Niemcy Cesarzkie, ani Trzecia Rzesza — sprawiły w tym wypadku władze kraju, który powinien być ojczyzną. To jest prawda gorzka, ale należałoby ją powiedzieć: po wielokroć głupota przekraczała granice swych granic. Tę „głupą prawdę” trzeba dziś unieść — i zmieniać.

Kaszubi żądają prawa, sprawiedliwości i szacunku. Szacunku dla swoich dziejów, dla swojej kultury, obyczaju i regionalnej odrębności. Żądają także, by wolno im było troszczyć się o siebie, bronić swoich praw, pracować dla kraju i mówić o swym kraju. Żądania te są po stokroć słuszne. Jest to jedyna możliwa droga, zmierzająca przy obustronnej dobrej woli i wzajemnym zrozumieniu do wyrównania tych wszystkich krzywd, których rachunek w imieniu swojego plemienia mogliby nam wystawić Derdowski i Majkowski, Budzisz i Karnowski, Abraham i żołnierze kaszubskiego podziemia w czasach okupacji hitlerowskiej. A rachunek ten musi być wyrównany. Przede wszystkim s motywu prostej uczciwości. A także — w imię dobra Ziemi Pomorskiej i w

Fat. W. Zubrzycki



interesie naszej polskiej wspólnoty.

Witamy z radością powstanie Zrzeszenia Kaszubskiego i jego prasowego organu. Życzymy serdecznie powodzenia w pracy. Wszystkim naszym czytelnikom w kraju i zagranicą polecamy gorąco pismo „Kaszëbë”. I podajemy adres jego redakcji: Gdańsk-Oliwa, ul. Grunwaldzka 516.

Miał rację Aleksander Majkowski: „To nie je na żodnyj planecie pisane,

Że zdżiną Kaszëbë ze świata nieznanego.

Że zdmuchną se semni nos wrodzi jak plewë.

Że po nos nie będzie pamiętci, ni spiewë.

Że zdżinie ta mowa jak żdżë kole plota!”...

Nie, to rzeczywiście nie jest napisane „na żadnej planecie”. W miarę naszych możliwości będziemy się o to wspólnie starali.



## SEKRET RZEZBIONYCH KŁOCKÓW

DOKOŃCZENIE



tych. Niektóre z nich zaopatrywał w datę i podpis.

Czy istnieeli w Płazowie jeszcze inni drzeworytnicy, czy też rzemiosło to uprawiał tylko stary Kostrzycki? Kim był Maciej Kostrzycki, skąd pochodził i gdzie zdobył swe umiejętności? Sięgnijmy do źródeł.

Sokołowski<sup>1</sup> podaje, że płazowski proboszcz ks. Stojak miał mu niedługo na ten temat udzielić następującego wyjaśnienia: „Drzeworytnik był tu jeden tylko, nazwiskiem Maciej Kostrzycki, urodzony około r. 1815... Jego syn Maciej... urodzony w r. 1837 zmarł w r. 1899. Z płyt pozostałych po ojcu odbijał on obrazy na papierze w różnych kolorach”. Jak widać — informacja skąpa. Może czegoś więcej dowiemy się z miejscowych ksiąg parafialnych? Z kilku z nich — nielicznie zachowanych — wynika jedynie, że już w roku 1858 właściwa pisownia nazwiska brzmiała: Kostrzycki oraz że rodzina była dość liczna, lecz wywodząca się jedynie z dziadków Macieja i Ludwika z domu Miśtaliskiej — Kostrzyckich. Jak opowiada stary Michał Kostrzycki, dziadek jego pochodził z Łowczy koło Płazowa lub z miasteczka Cieszanów. W Płazowie pełnił on funkcję kościelnego. Był również miejscowym grabieżcem i parzył się bednarką. Ziemi nie posiadał. Jak to zazwyczaj bywa z ludowymi artystami, Kostrzycki nie był w Płazowie osobistością „okazałą”. Należał raczej do grupy biedaków, zarabiających z konieczności najróżniejszymi sposobami. Jednym z nich było właśnie rzeźbanie drzeworytów i odbijanie obrazków. Handlował więc Kostrzycki swymi obrazkami, w czym pomagała mu żona „kramarka”. Nie wiemy niestety czy Kostrzyccy sprzedawali obrazki tylko na miejscu, czy wędrowali z nimi po okolicy. A szkoda, bo rzuciłoby to ciekawe światło na rozchodzenie się tych ludowych dzieł sztuki. Można jedynie stwierdzić, że „zasięgiem” swym obejmował ludowy artysta najbliższe wsie, najczęściej Łowczę i Rudę Różaniecką. W tych okolicach istniał bowiem oryginalny zwyczaj wieszania w stajniach obrazków św. Mikołaja — patrona bydła, tak zwanych „Mikołajków”, które produkował Maciej Kostrzycki i sprzedawał, a raczej wymieniał na paszę dla bydła, nie miał bowiem własnych gruntów.

Dawno już zniszczyły w chłopskich stajniach nieoprawione w ramki i nieoszlifowane „Mikołajki” z Płazowa, ale zwyczaj ów żyje jeszcze w pamięci starych mieszkańców tych wiosek. W samym Płazowie jednak istnieje o nich tradycja bardzo niska. Dziś jedynie 14-letni prawnuk ostatniego drzeworytnika namawia usilnie swego dziadka do odszukania zagubionych kłocków.

Heż zachowało się z tajemniczych kłocków? Nie ich w ogóle było?

Rodzina kościelnego twierdzi, że Maciej Kostrzycki junior odziedziczył po ojcu 10 sztuk kłocków jednostronnych. Do dziś zachowały się odbitki w zbiorach Muzeum Etnograficznego w Krakowie w ilości 21 desek, w tym 8 dwustronnych czyli łącznie reprezentujących 29 obrazów (24 odbitki opublikowano w Tece Łazarskiego<sup>2</sup> a jedną nową u

Sokołowskiego). Piwocki<sup>3</sup> wspomina o znalezieniu w Płazowie około 1900 roku 25 desek drzeworytniczych. Niewątpliwie drzeworyty grupy płazowskiej rozprowadzane były niegdyś w bardzo licznych odbitkach, skoro zachowało się tak dużo desek. Potwierdzały to również zgromadzone głównie przed rokiem 1841, a dokompletowane w latach 1845—51 zbiory drzeworytów u Pawlikowskich w Medyce koło Przemyśla. Istniała tam bowiem spora ilość odbitek wykazujących cechy grupy płazowskiej.

Gorzej jest z identyfikacją kłocków i ich autorstwa. Oprócz oddanych do Zakopanego (obecnie znajdujących się w muzeum w Krakowie) wnuk płazowskiego drzeworytnika miał zatrzymać sobie dwa, a to: najmniejszy, przedstawiający św. Antoniego z Dzieciątkiem oraz drugi z wyobrażeniem św. Mikołaja. Cóż, kiedy kłocki te przy zbieraniu starej chałupy przed rokiem 1914 i przeprowadzce, gdzieś zaginęły. Poszukiwania odbitek z tych kłocków w najbliższej okolicy nie dały żadnego rezultatu.

Jerzy Kieszkowski<sup>4</sup> uwzględnił grupę płazowskich drzeworytników i umiejscowił ją w XVIII i XIX wieku.

Istnieje tylko zasadnicze pytanie: Czyżby twórcą wszystkich obrazów był stary Kostrzycki?

Czy Kostrzycki senior, znany jako pierwszy w Płazowie drzeworytnik czynny około 1830 r., był istotnie pierwszym i nauczył się tej techniki gdzieś „w świecie”, czy może opierał się na miejscowej tradycji? W takim razie, kim byli jego poprzednicy?

Za drugą hipotezą przemawia fakt, że grupa drzeworytów płazowskich, jedna z najbardziej u nas wartościowych artystycznie, wykazuje dość duże zróżnicowanie formalne i techniczne. Wystarczy tu porównać niepodpisany obrazek św. Jerzego (na rewersie „Ostatnia Wierczerza” datowana „183...”) z drzeworytami z tego samego okresu podpisanymi przez Kostrzyckiego. Różnią się one zarówno w kompozycji jak i technice cięcia wyraźnie na niekorzyść drugiego, który nie osiąga ani tak wytwornej kompozycji ani też do tego stopnia pewnych i płynnych linii. Poza tym są jeszcze inne znane odbitki też nieco różne w charakterze od powyższych, a podpisane „W.S.K.”, „W.K.S.” i „P”. A więc były to chyba jednak dzieła różnych rąk i nie koniecznie współcześnie czynnych.

Kim byli ci nieznani artyści górujący swymi umiejętnościami nad ostatnim twórcą „Mikołajków”?

Definitywne ustalenie tych spraw jest niestety prawie niemożliwe. Przekazy ustne nie sięgają tak daleko, a źródła pisane są pod tym względem więcej niż skąpe.

Mamy w zapiskach parafialnych z połowy XVIII wieku jedną jedyną wzmiankę o obrazniku, lecz nie wiadomo czy dotyczy ona w ogóle drzeworytów: „...przeszedł razem z gromadą do mnie w lednym chodaku, a drugą nogą bosą czyli chodzą, czyli onuczką zawiniętą, pytałem go się czyli drugiego nie masz, iż tak chodzisz — odpowiedział, Mości Dobrodzieu coświniem był Osyp do Dworu Ekeucya Dworska poty stała pokim czterech szelągów nie oddał, przedawszy swoy chodak temu co z obrazami chodzi po wsi...”

Ciekawe, komu i kiedy dane będzie głębiej dotrzeć do tajemnic osobliwości „miasta Płazonium”?

<sup>1</sup> M. Sokołowski: Drzeworytnictwo u nas. Spraw. Kom. Hist. Sztuki, t. VII r. 1903.

<sup>2</sup> Z. Łazarski: Teki drzeworytów ludowych dawnych. Warszawa (1921).

<sup>3</sup> Ksawery Piwocki: Drzeworyt ludowy w Polsce. Warszawa 1934.

<sup>4</sup> J. Kieszkowski: Zbiór katalog dawnych drzeworytów ludowych Warszawa 1921.

Ponadto w niniejszej pracy autorka publikuje po raz pierwszy wyniki własnych badań terenowych przeprowadzonych dla Państw. Instytutu Sztuki.

## KRAJOZNAWSTWO ZA GRANICĄ



Lord Baden-Powell of Gilwell, wg. portretu Dawida Jaggera.

Obecny komendant skautów Brytyjskiej Wspólnoty Narodów lord Rowellian wśród międzynarodowej grupy skautów.



W tym roku ukazał się w W. Brytanii przewodnik po londyńskich restauracjach. Informuje on szczegółowo przybyszających gdzie, co i w jakiej cenie można zjeść w stolicy, porównując od najbardziej luksusowych lokali a skończywszy na skromnych, taniach jadłodajniach. Autoży (jest to bowiem praca zbiorowa) uwzględnił również gusta cudzoziemskich smakoszy. Podają oni bowiem wykaz restauracji, w których dania przyrządzane są według recept zagranicznych kuchni. Przy omówieniu każdej restauracji widnieje również nazwisko właściciela zakładu lub głównego kelnera. (Z)

W sierpniu tego roku minęło 50 lat od chwili gdy gen. Robert Baden-Powell wybrał się z dwudziestoma chłopcami na obóz walcycy. Było to na niewielkiej wyspie Brownsea w pobliżu wybrzeży hrtyjskich. W tymże roku generał opublikował swój słynny później podręcznik „Scouting For Boys” i taki był początek ruchu skautowego. Nie więc dziwnego, że tegoroczny międzynarodowy jamboree miał specjalnie uroczysty charakter. Święcono złoty jubileusz światowego skautingu. O kilka mil od Birmingham (Anglia) w miejscowości Sutton Park stanął wielki obóz skautowski, w którym od 1 do 12 sierpnia zamieszkało 35 tys. skautów z całego świata, reprezentujących 12 milionów chłopców i dziewcząt z pięciu kontynentów. Miasteczko namiotów podścielono na szereg części przy czym każda z nich nosiła nazwę jednego z poprzednich jamboree. Jak to zazwyczaj bywa na tego rodzaju imprezach, miasteczko wyposażone było we własne urzędy pocztowe, kaplice, banki, ekrany telewizyjne, szpital a także osobną radiostację krótkofalową. Tegoroczny jamboree był podwójnym jubileuszem. Oto bowiem w tym roku również mija 100 lat od urodzenia twórcy ruchu skautowskiego — Roberta Baden-Powella.

Jak więc widzimy rok obecny szczególnie obfitował w międzynarodowe spotkania młodzieży różnych krajów i narodów.

(Z)

Najstarsze miasto w Stanach Zjednoczonych liczy około 400 lat. Jest nim miejscowość St. Augustine na Florydzie. Tu w roku 1513 wyładował wraz ze swą ekspedycją hiszpański wódz Ponce de Leon ruszając na poszukiwanie legendarnego Źródła Młodości. W pięćdziesiąt lat później Hiszpanie zakładają w tym miejscu nadmorską forteczkę, która miała strzec im przechodzących tędy morakich szlaków komunikacyjnych. Osada napadana przez admirała Drake, antyjskie piratów i miejscowych Indian, płonęła w ciągu swych dziejów kilka razy. Tym nie mniej do dnia dzisiejszego przetrwały tu dawne fortyfikacje i zażytkowa dsielnica hiszpańska, to i ca co roku przybywa do St. Augustine 400-tysięczna rzesza turystów. (L)



Powyżej: obraz  
Suriowa „U-  
jarmienie Sy-  
biru”.

# PODOBÓJ SYBIRU

Na podstawie materiałów nadesłanych  
„Ziemi” przez Muzeum Krajoznawcze  
w Białogórze opracowała:  
**HELENA BURCHARD**

Dzieje wypraw odkrywczych to chyba jeden z najbardziej pasjonujących tematów. Pierwszeństwo mają tu zarzeczaj dzieje odkrycia państw środkowej i południowej Ameryki, niepokojące tajemnicami Inków i Azteków, błyskające blaskiem setek kilogramów złota, składanego Hiszpanom jako okup za Atahualpę. Ale z równym zainteresowaniem czytujemy o wyprawach w głąb puszczy kanadyjskich i śnieżnych „barren” mimo, że nie przyniosły one tak olbrzymich łupów swym odkrywców. Z zapartym tchem już od najmłodszych lat śledziliśmy opisywane w licznych powieściach przygady pionierów północnoamerykańskiej arktyki. Począwszy od „coureurs du bois” z czasów Jacques Cartier i Moutcalma, poprzez brodatych traperów i poszukiwaczy złota z powieści Londana i Curwooda, a skończywszy na ludzłach z „Kanady pachnącej żywicią”. Tymczasem tuż po drugiej stronie cieśniny Beringa rozciąga się olbrzymi kraj pod względem geograficznym tak bardzo zblizony do Kanady, a jednocześnie jakże w porównaniu z nią mało spopularyzowany w literaturze światowej.

Podobnie jak w Ameryce podbiła go garstka zuchwalców, walcząc nie tylko z krajowcami ale i z dzwiciwą przyrodą, o setki kilometrów od ostatnich placówek cywilizowanego świata. Podbiła go dla odległego despoty, który następnie przez wiele lat uczynił zeń więzienie dla swych przeciwników i miejsce zsyłki dla swych sług popadłych w niełaskę. Sybir — kraj olbrzymich bogactw mineralnych i dzwiciwej przyrody — był przez szereg pokoleń dla narodów Europy środkowo-wschodniej nazwą o zupełnie innym znaczeniu. I administratorom tej krainy wcale nie zależało na popularyzacji jej wśród narodów świata. Nie było się czym chwalić. To też dziś, o ile już dość dawno zdążyliśmy się oswoić z dziejami podbojów Peru, Meksyku lub Kanady, o tyle o podboju Syberii czytamy jak o czymś bardzo mało znanym. Mimo, że wszyscy to słabo się tak dawno.

W tym konkretnym wypadku mamy do czynienia z historią siedemnastowiecznego podboju nadamurskiego kraju, w południowo-wschodniej Syberii. Dziejami tego podboju zajmuje się G. S. Nowikow — Daurczyk w drugim tomie „Notatek” wydawanych przez okręgowe amurskie muzeum krajoznawcze w Białogórze i miejscowe krajoznawcze towarzystwo. Amurskie towarzystwo krajoznawcze istniało w tym mieście już w okresie międzywojennym, wydając szereg publikacji. Tom „Notatek” w którym Nowikow-Daurczyk zamieszcza swój artykuł, ukazał się w roku 1953. Artykuł ten omawiający ułestety tylko pierwszy etap podboju ziem nadamurskich przez Rosję, jest jednak i tak niezwykle ciekawym przyczynkiem do historii zdobycia tych owianych złowrogą egzotyką abaszarów.

Wiadomość o istnieniu rzeki Amur  
powzięli syberyjscy kozacy od tubyl-

czych myśliwych napotkanych nad mo-  
rzem Ochockim. Tubylcy nazywali tę

rzekę Szyłkar. Narwa „Amur” używa-  
na obecnie pochodzi od słowa „amar”,  
oznającego w języku Ewenków uj-  
ście rzeki, którą to nazwę, nie rozu-  
miejąc jej, dokładnie Chabarow uznał  
za imię własne i rozciągnął na cały  
bieg rzeki. Pierwsze wysłane celem  
odszukania jej ekspedycje nie osiągnę-  
ły rezultatu.

## PIERWSZA WYPRAWA

Osiągnęła go dopiero wyprawa wy-  
ślana w 1643 roku przez wojewodę  
jakuckiego Golowina pod wodzą Wa-  
syła Danilowicza Pojarkowa. Oddział  
Pojarkowa składał się ze 127 ludzi, w  
tym 112 kozaków. Wyprawa wyruszy-  
ła z Jakucka dnia 15(26) lipca lodzia-  
mi w dół Leny, a następnie w górę  
rzeki Aldan i jej dopływów. Droga  
była ciężka. Łodzie trzeba było cią-  
gnąć na linach pod prąd przez kraj nie-  
znany i niezamieszkały. Szczególnie  
trudno było na rzece Gonam, gdzie  
trzeba było przebyć czterdzieści dwa  
poroby i dwadzieścia dwa razy prze-  
ciągnąć łodzie brzegiem. Wreszcie wy-  
prawę zatrzymały na rzece mroź i lód.  
Pojarkow w postawionej lu ludowi  
pozostawił na przzimowanie część od-  
działu pod wodzą Palrikeja Minina,  
a sam z 90 ludźmi ruszył na nartach.  
Bagaże ciągnęli na sankach. Po trzech  
lygodniach, przeszedłszy w głębokich  
śniegach łańcuch górski, dotarli do rzeki  
Brianty, dopływu Zei. Po łodzi do-  
szli do Zei i idąc dalej wzdłuż tej  
rzeki dotarli do pierwszej osady tu-  
bylców — Daurów, gdzie postanowili  
przezimować. Zapasy żywności rychło  
się skończyły. Daurowie mieli ich też  
niewiele. Głodowali więc Kozacy ży-  
wiąc się korą sosnową i korzeniami,  
wygrzebywanymi z pod śniegu. Od-  
dział Minina, który nadszedł wczesną  
wiosną 1644 r. zastał ich przy życiu  
tylko czterdziestu. Po spłynięciu lodów  
ekspedycja ruszyła lodziami w dół Zei,  
a następnie Amurem (który Pojarkow  
w swoich relacjach nazywa Szyłka-  
rem). Po dwu i pół miesiącach podró-  
ży ekspedycja dotarła do ujścia Amu-  
ru, gdzie przebyła zimę 1644—1645  
zbierając daninę od Giljaków — skór-  
ki soboli. Z początkiem lata kozacy  
wyruszyli morzem Ochockim i po trzy-  
miesięcznej żegludze dotarli do ujścia  
rzeki Ul, gdzie spędzili następną zi-  
mę. Z wiosną 1646 r. Pojarkow pozo-  
stawiając część ludzi u ujścia Ul dla  
zbierania daniny, z resztą ruszył do  
Jakucka, dokąd przybył w połowie  
lipca. Ze 132 ludzi, którzy wyruszyli  
na wyprawę, przeżyło ją 53.

Pojarkow prócz zebranych danin  
i trzech przywiezionych Giljaków zło-  
żył wojewodom opis i szkic przeby-  
tej drogi. Był to pierwszy znany w  
Europie opis tych terenów.

## FORT ALBAZIN

Przez kilka lat wojewodowie nie  
przedsiębiorali żadnych wypraw na  
nowo odkryte tereny. Dopiero w 1649 r.  
zorganizował taką wyprawę wojewo-  
da jakucki Francbekow z inicjatywy  
i pod wodzą Jerofieja Pawłowicza  
Chabarowa. Wybrał on inną drogę —  
w górę Olekmy i Tungiru, a następ-  
nie, przeszedłszy w zimie przez łań-  
cuch górski Stanowoj, rzeką Ur do  
Amuru. Dotarłszy do terenów zamiesz-  
kałych przez Daurów Chabarow wy-  
brał sobie na rezydencję gródek tubyl-  
czy Jaksa, nazwany później przez Ro-  
sjan Albazin. Wobec tego, że układy  
z tubylcami szły opornie, a oddział  
Chabarowa był zbyt słaby liczebnie

(70 ludzi), aby przedsięwziąć jakąś ak-  
cję, umocnił on gródek pozostawiając  
w nim 50 ludzi zalogi, a sam z resztą  
wrócił do Jakucka po pomoc.

Drugą wyprawę Chabarow rozpoczął  
9(20) lipca 1650 r., prowadząc z sobą  
137 ludzi i trzy armaty. Połączywszy  
się z pozostawionymi poprzednio towa-  
rzyszami, którzy w międzyczasie roz-  
poczęli walki z tubylcami, Chabarow  
pobił kilkakrotnie Daurów i przezimo-  
wał w Albazinie. Z początkiem czer-  
wca 1651 r. ruszył w dół Amuru na lo-  
dziach, walcząc po drodze z Daurami,  
zdobywając ich gródki i zbierając da-  
niny. W październiku zatrzymał się na  
zimę w dużym osiedlu poniżej ujścia  
Ussuri, stawiając małą warownię, w  
której bronił się przed atakami tubyl-  
ców — Aczanów i Diuczerów. Wresz-  
cie tubylcy zwrócili się o pomoc do  
władz mandżurskich, którym płacili  
dotychczas daniny. 24 marca (4 kwiet-  
nia) 2000 Mandżurów zaopatrzonych w  
6 armat, 90 strzelb i kilka glinianych  
petard do wysadzenia wałów obron-  
nych obległo gródek. Wobec cożgiz-  
nej obrony Mandżurowie cofnęli się,  
ale Chabarow, obawiając się ich prze-  
wagi liczebnej 22 kwietnia (3 maja)  
1652 r. popłynął w górę Amuru. Ko-  
zacy ciągnęli słatki na linach, a przy  
pomysłnym wietrze rozpinali żagle.  
Spotkawszy się przy przełomie rzeki  
w górach Chingan z idącym mu na  
spotkanie oddziałem Czeczigina, prze-  
zimował i w maju 1653 r. ruszył da-  
lej w górę rzeki. U ujścia Zei spotkał  
Dymitra Zinowjewa wysłanego  
przez cara dla zbadania stosunków w  
Ziemi Daurkiej. Po czterech lygod-  
niach spędzonych nad Amurem Zinow-  
jew ruszył zpowrotem do Moskwy, za-  
bierając z sobą Chabarowa, na miej-  
sru którego pozostawił niejakiego Stie-  
panowa. Stiepanow i inni dwódcy wy-  
słani przez wojewodów jenijskiego  
i jakuckiego, krążyli po terenach nad-  
amurskich zbierając daniny i walcząc  
z Daurami i występującymi coraz ener-  
giczniej Mandżurami do roku 1659,  
kiedy ostatni kozacy wycofali się do  
Nercyńska.

Dopiero w 1655 r. wyprawił się nad  
Amur z oddziałem kozaków Nikifor  
Romanowicz Czernigowski. Odbudo-  
wawszy gródek w Albazinie osiedli  
tutaj uprawiając ziemię i gromadząc  
coraz więcej osadników. Czernigow-  
skij nawiązał kontakt z Moskwą i w  
r. 1672 został mianowany pisarzem  
osady w Albazinie, a zarządcą jej —  
przysłany z Tobolska Iwan Oskolkow.  
Życie normowało się, powstawały no-  
we osady i gródki. W r. 1682 Moskwa  
utworzyła w Alrzyła w Albazinie wo-  
jewództwo: pierwszym wojewodą zna-  
stał setnik Aleksy Tolbuzin.

## CHINCYCY PISZA PO POLSKU

Wkrótce po tym Tolbuzin otrzymał  
pismo od cesarza chińskiego Kan-si z  
żądaniem wycofania się Rosjan z nad  
Amuru. Pismo przetłumaczone na ję-  
zyk rosyjski i wojewoda odczytał go  
kozakom. Postanowili się bronić. W-  
ciągu tego jeszcze roku (1682) ewa-  
kuowano mniejsze gródki i osady.

24 marca 1684 r. w Albazinie otrzy-  
mano pismo od cesarza chińskiego z  
żądaniem poddania się, napisane w  
trzech językach: po mandżursku, mon-  
golsku i po polsku (!).

W czerwcu tegoż roku pod Albazin  
podeszło wojsko mandżurskie, ale  
wziąwszy w niewolę 30 kozaków znaj-  
dujących się poza obrębem forteczki,  
cofnęło się. Jeńców odesłano do Pe-  
kinu.

Tolbuzin wysłał listy z prośbą o po-  
moc do Moskwy, Nercyńska, Jenisej-  
ska i Tobolska. W Nercyńsku nie było  
wojska... Z Moskwy wysłano pul-  
kownika Bejtna z wojskiem i artyle-  
rią, ale tymczasem w czerwcu 1685 r.  
wojska chińsko-mandżurskie rozpoczęły  
oblężenie. Po wyczerpaniu się zapa-  
su żywności i amunicji i stracie prze-  
szło stn ludzi z 450 obrońców, Tolbu-  
zin nawiązał rokowania z chińskim do-  
wódcą Lang-Tu.

## DRUGIE OBLEŻENIE

23 czerwca (4 lipca) rosyjska załoga opuściła Albazin. Po dwu dniach drogi napotkali Rosjanie wysłany im na pomoc z Nerczyńska oddział stu ludzi, a w Nerczyńsku zastali Bejtona z jego pułkiem. Po stwierdzeniu przez oddział zwiadowczy, że wojska chińsko-mandżurskie zniszczyły Albazin wycofali się. Tolbuzin i Bejton z oddziałem 677 ludzi, z pięciu miedzianymi i trzema żelaznymi armatami ruszyli napowrót do Albazina.

W lipcu 1686 r. rozpoczęło się drugie oblężenie odbudowanej forteczki. Wojska mandżurskie okrążywszy gródek otoczyły swoje pozycje częstokolem i wałem świeżo zrąbanych drzew. Kozacy częstokół spalili, strzelając do niego rozpalenymi kulami, a wał z drzew wysadzili w powietrze przy pomocy podkopu. Wtedy Mandżurowie usypali wokół gródka wał ziemny, na którym ustawili armaty. Gródek bronili dzielnie mimo szerrącego się wśród załogi szkorbutu. We wrześniu 1686 r. poległ Tolbuzin; dowództwo po nim objął Bejton. W listopadzie 1687 r. załoga gródka liczyła już tylko 150 obrońców. W maju 1688 r., kiedy armia oblężnicza odstąpiła od Albazina na 6 km, pozwalając obrońcom nawiązać łączność ze światem, pozostało ich zaledwie 66.

Dowództwo chińskie zaproponowało przysłanie swoich lekarzy do forteczki i prosiło o podanie liczby chorych. Bejton odpowiedział, że jego żołnierze są zdrowi i niczego im nie brak, a "nadodatek tego dostał wodzowi chińskiemu „pieróg wagi jednego puda”.

## ROKOWANIA I ODWRÓT

Wreszcie 30 sierpnia (10 września) 1688 r. armia mandżurska otrzymała rozkaz wycofania się do twierdzy Ajgun, wobec nawiązania rokowań pokojowych między Moskwą a Chinami.

Propozycja rokowań wyszła od Moskwy. Do prowadzenia rozmów wysłany został Fiodor Aleksiewicz Golowin, wojewoda nerczyński Iwan Astafjewicz Własow i djak Siemion Kornickij ze swiatą. Towarzyszył im pułk strzelców liczący 500 ludzi, drugi pułk zwerbowany w drodze przez Syberię oraz 600 dragonów.

Poselstwo chińskie przybyło do Nerczyńska 21 lipca (1 sierpnia) 1689 r. i rozbiło namioty na łące pod miastem. Towarzyszyła mu armia 15000. Funkcje tłumaczy przy poselstwie pełnili dwaj jezuici — Franciszek Gerbillon i Tomasz Pereira. Golowin znał język chiński, co ułatwiało porozumienie między poselstwem.

Chińczycy żądali wycofania się Rosjan z kraju Amurskiego i oznaczenia granicy wzdłuż Bajkalu i Leny. Golowin proponował jako granicę Amur. Spór trwał trzy dni, aż zniecierpliwieni Chińczycy posunęli wojska w stronę miasta. W tej sytuacji Golowin zmuszony był ustąpić.

27 sierpnia (7 września) 1689 r. podpisano pokój, ustalający granicę między Rosją i Chinami wzdłuż rzeki Argumi, Szyłki i Gorbicy. Ze strony rosyjskiej podpisali go Golowin, Własow i Kornickij, ze strony chińskiej — Sangołu, dowódcę wojsk stacjonowanych poza Wielkim Murem, wuj cesarza Tu Gu-chan i dowódca wojskowy Lang-Tan.

28 sierpnia (8 września) posłowie składali sobie nawzajem podarki, a następnego dnia Chińczycy wyruszyli w drogę powrotną. Po drodze spalili fortyfikacje Albazina, opuszczone przez załogę Bejtona, powracającą do Nerczyńska.

Tak zakończył się pierwszy etap podboju ziem nadamurskich przez Rosję.

# KATASTROFA „NINO CLAUDIO”

Kilka lat temu w jednym z francuskich sądów odbył się niezwykle proces. Na ławie oskarżonych zasiadła grupa mieszkańców nadmorskiej wioski bretońskiej Brignogan a stroną poszkodowaną był niejaki kapitan Chiesca, dowódca włoskiego frachtowca „Nino Claudio”. W czasie katastrofy tego statku u wybrzeży Brignogan owa grupa bretońskich wieśniaków wyratowała kapitana wraz z załogą, a jednak Włoch pozwał następnie swych ratowników do sądu.

...Od dwu dni włoski statek handlowy „Nino Claudio” o wyporności 3 tys. ton, zarejestrowany w Genui i wiozący smołę i koka z Rotterdamu na Sardinie, płynął nocą. Aż wreszcie mijając wybrzeża Bretanii roztrzaskał się na skałach Brignogan. Kapitan i zarazem właściciel statku uznał „Nino Claudio” za stracony i opuścił wraz z załogą pokład. Równocześnie wołania o pomoc z włoskiego frachtowca usłyszeć mieszkańcy nadbrzeżnej wioski i mimo wzburzonego morza wyruszyli na ratunek rozbitkom. Dzielni Bretończycy szybko i sprawnie przetransportowali kapitana wraz z załogą na brzeg, a następnie... jeszcze szybciej powrócili na tonący statek, aby go ogołocić z ładunku oraz wszelkich mających jakąkolwiek wartość sprzętów. Szarańczę tę prowadził kaleka François Coradac, słynny na całą okolicę wioślarz i „polawiacz towarów”. W myśl hasła „kto nie ryzykuje ten nie ma” wdarli się ludzie Coradaca na pokład mimo iż burzowa fala zmywała go raz po raz a wrak w każdej chwili groził pęknięciem na dwoje. Tym razem jednak Coradac się spożył. Na pokładzie bowiem działał już ze swym zespołem jego rywal, niejaki Louis Kamaneur, który — jak sam o sobie mówi — jest „najlepszym przyjacielem rozbitków a najgorszym wrogiem urzędu celnego”. W ciągu kilku godzin statek ograbiono z instrumentów, stołów, krzeseł, dzwonków, śrub, zamków, lamp i lin. Bezsilnym świadkiem tej akcji był kapitan Chiesca, obserwujący rabunek z brzegu. Tego rodzaju proceder uprawiają od setek lat mieszkańcy wielu miejscowości skalistej Bretanii. Ci odważni żeglarze spieszą chętnie na pomoc rozbitkom — zwłaszcza jeżeli statek wioził cenny ładunek. Podobnie zresztą fródlu docbodu wynajdowali sobie ongiś i ich północni sąsiedzi z kornwalijskich wybrzeży, zwabiając nawet statki na rafy zapalaniem fałszywych latarni morskich w burzliwe noce. Praktyki owe jednak nie znajdowały nigdy właściwego zrozumienia u władz, toteż i rybaków z Brignogan skazano na zapłacenie grzywny. „Polawiacze” grzywnę zapłacili nie oddając zresztą łupu.

Dziś mieszkańcy Brignogan niechętnie wspominają epizod z „Nino Claudio”. Powodem tego zresztą wcale nie jest ów proces. Oto ktoś puścił plotkę jakoby na pokładzie włoskiego frachtowca ukryte były klejnoty. I Bretończycy martwią się że przoczyli największą okazję.

(L)

Obok: François Coradac doje swoim ludziom sygnał do ataku. Nitej: rybacy z Brignogan wdzierają się na pokład tonącego „Nino Claudio”. U dołu: łodzie bretońskie zbliżają się do włoskiego frachtowca. Zdjęcie: Picture Post.







DZIAŁ MŁODYCH KRAJOZNAWCÓW

# NATROPACH MALOWANYCH KAFLE

Najłatwiej skopiować malowany kafel przykładając doń (po uprzednim oczyszczeniu wilgotną szmatką) mokrą bibulkę. Widniejące pod nią kontury malowidła przerysowujemy następnie kopowym ołówkiem. Po wysuszeniu bibulki należy kredkami zaznaczyć na konturowym rysunku właściwe oryginalnym kafli kolory.

O znalezionych kaflach powinno się zebrać na miejscu możliwie jak najwięcej danych. Wiadomości o odkryciach należy przekazywać najbliższemu muzeum. Ponadto zarówno rysunki nowoodkrytych kafli jak i zebrane o nich w terenie materiały informacyjne będziemy chętnie publikować na łamach **ZIEMI**, uwzględniając oczywiście prawa autorskie odkrywców.

**J**uż miałem wyjść z chałupy kiedy uprzejmy gospodarz nagie coś sobie przypomniał. Posługując się mieszaniną polskich i niemieckich słów, pomagając sobie gestami usiłował mnie nakłonić abym zajrzał w wąską niszę poza dużym piecem kuchennym. Zajrzałem i przy blasku zakopconej lampy naftowej podtrzymywanej przez starego Warmiaka zobaczyłem je po raz pierwszy w życiu. W zakurzonej i zasnutej pajęczynami ścianie pieca tkwiła seria jasnozielonych kafli. Dziwne to były kafle. Każdy z nich stanowił odrębny obrazek, wymalowany bardzo starannie choć z rozbrajającą naiwnością. Tu pośród kwiatów maszerował z długą strzelbą w ręku myśliwy we fraszku z gałkami, obcisłych piuderkach i butach z wywijaną cholewą, takich akurat jak te nosi „Johnny Walker” — gentleman Anglii księcia Regenta z reklam szkockiej whisky. Wyżej kobieci w szerokiej staroświeckiej spódnicy dźwigała wodę w kubkach, a obok galopował na koniu jeździec w stroju barona Münchhausena. Nie! W ten sposób napewno nie noszono się tu ani w czasach młodości mego gospodarza, ani nawet wtedy gdy w tym starym obszernym domostwie gospodarował jego dziadek. Mimo, że dotychczas znałem je tylko z ilustracji i opowiadań, byłem pewien: znalazłem nowe okazy mazursko-warmijskich kafli ludowych, tak gorliwie poszukiwanych przez miejscowe muzea.

## SKĄD SIĘ TO WZIEŁO?

Wszystko zaczęło się dawno, bo w XVII wieku, kiedy z Holandii przybywają przez Gdańsk do Polski pierwsze kafle malowane w misterne wiatraczki, sielskie krajobrazy i liryczne scenki. Piece z takich kafli stały się niebawem ostatnim krzykiem ówczesnej mody zdobić pałace ziemian i mieszkania bogatego mieszczaństwa. A zapotrzebowanie rosło. Już i w Gdańsku powstała manufaktura kaflarska.

Urokowi malowanych pieców nie oparli się i mazurscy chłopcy, choć należy przypuszczać, że na taki wydatek pozwolić sobie mogli chyba tylko zamożniejsi mieszkańcy wiosek. W każdym razie wszędzie na ogół tam gdzie dziś natrafiamy na zabytki ludowego kaflarstwa, miejscowa tradycja wiąże je z bogatymi wielohektarowymi zagrodami tzw. gburów. Kafle z wielkomiejskich manufaktur nawiązywały do nich musiał być za drogie. Zresztą po co mozolnie transportować wozem kafle z odległego miasta, skoro zrobi je zdun z pobliskiego miasteczka? Może nie będą takie piękne jak tamte, ale chyba tańsze i łatwiej dostępne. Garncarze z małych miasteczek mazurskich i warmijskich robili kafle niby na wzór bołenderskich i gdańskich ale jakże od nich różne! I malowidło było nakreślone drżąco, mniej wprawna ręka i temat inny. Bo też mazurskiego zduna niejednokrotnie ponosiła fantazja i malował na swych kaflach scenki z otaczającej go rzeczywistości lub zgoła to co podyktowała mu wyobraźnia. Nad kuflami pochylali się pijacy, wójt rozstrzygał chłopskie spory, przed budkami przeżyli się pruscy wartownicy a tu i ówdzie — jak choćby na tych kaflach, które znaleźliśmy parę lat temu w Tykowie — pod drzewami czaili się dziki zwierz.

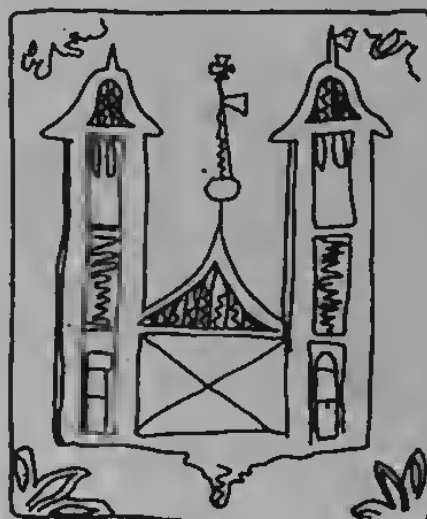
## „JEDZIE MOSKAŁ...”

Tam, gdzie zdaniem kaflarza sam rysunek był zbyt mało zrozumiały, rzemieślnik uzupełniał go wyskrobany napisem. Krzywe i koślawe litery układają się w sentencje, wypowiedziane w owej dziwnej i może nieco śmiesznie dla nieprzywykłego przybysza brzmiącej polskiej gwarze tych obszarów. Takiej jaką dziś słyszymy tu z ust starych wieśniaków. „Jedzie Moskale z sucharami za nim Prusak z kartoflami” — czytamy pod wizerunkami dwu żołnierzy w mundurach z czasów napoleońskich. Napis dokumentuje

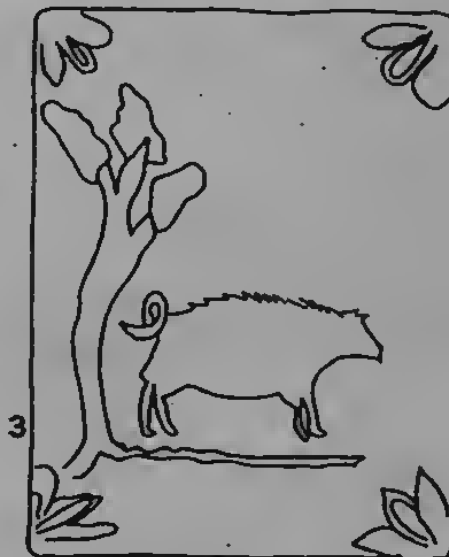


1

Rysunki nr. 1, 2, 3 i 5 — to kafle z Tykowa w powiecie szczytniejskim. Nr 4 i 7 — ze Spręcowa w powiecie olsztyńskim.



2



3

Rysunki nr. 6 i 8 przedstawiają kalle ze wsi Narajty w powiecie szczytniejskim. Rysunki Dobiesława Walknowskiego.



4



atosunek mazurskiego chłopca do dziewiętnastowiecznych mocarstw sojusznicznych. Sentencji jest zresztą sporo i to rozmaitego rodzaju. Tej właśnie pasji pisania po kafkach zawdzięczamy wiele danych o ich twórcach. Skądbyśmy bowiem wiedzieli kim byli ci ludowi ceramicy, kiedy i gdzie tworzyli? Tego przecież nie pamięta żaden, choćby najstarszy mazurski chłop, gdyż zabytki kaflarstwa ludowego omawianego regionu pochodzą z pierwszej połowy XIX wieku. Na szczęście nasi kaflarze mieli zwyczaj umieszczać na jednym z kafli stawianego pieca datę wykonania, nazwisko i miejsce, w którym młodziła się pracownia kaflarska. Dzięki kaflowi z napisem „Johann Karpowicz, Neidenburg 1838” udało nam się określić tykowiaki piec, nie znany olsztyńskiemu muzeum.

Nidzica, Szczytno, Pasym. Małe miasteczka, siedziby rzemiosł. Przeszło 100 lat temu różni Karpowicze i Nardzewscy, polscy garncarze o znleczonych imionach, tworzyli tutaj malowane kafle dla mazurskich „gubów”. I chociaż tego rodzaju pstrokate piecyki już dawno znużyły się i wyszły z mody i w miastach i w pałacach, to w mazurskiej wiosce utrzymały się jeszcze

przez długie lata. A i później, kiedy już pamięć zaginęła o staroświeckich zdunach, ich piecyki stały po chałupach przez całe pokolenia ku uciesze dzieciarni. Dziś jeszcze nie jeden bezżębny staruszek z południowych Mazur i Warmii wspomina z lat dziecięcych owe piecyki, na których widnieły „chłopi w kapeluszach trzykątowych i panny” i gdzie „było namalowane jak tańczyli i napisyane zaraz — co robią”.

### CO Z TEGO ZOSTAŁO?

Część z tych zabytkowych pieców powędrowała do muzeów w Olsztynie i Szczytnie. Ale nie ludzimy się. Większość kafli zniszczyła w czasie wojennej pożogi i powojennego szabru. Tak np. w jednej tylko Jabłonce (pow. Nidzica) w roku 1945 spłonęły wraz z chałupami aż dwa malowane piecyki! Nie mało też ich rozebrali sami Mazurzy jeszcze w okresie międzywojennym. Ktoby zwał na stary, dymiący piec skoro stał go na nową chałupę? Tak też stało się w Małaszewie koło Szczytna i Lipowie pod Olsztynem.

Nie jeszcze kafli bezcennych dla badaczy polskiej sztuki ludowej niszczyły do dnia dzisiejszego po mazurskich i warmijskich wioskach?

Nie łatwo do nich dotrzeć szczupłemu personelowi muzeów regionalnych. Nie tak łatwo jest wyłowić te kilkanaście czy może kilkadziesiąt ostatnich przykładów sztuki mazurskich zdunów z morza wsi rozległego województwa. A jednak odszukiwanie ich nie przekracza bynajmniej możliwości indywidualnych badaczy — amatorów. W czasie kilku załedwie krótkich wypadów raz po raz odkrywano te zdawałoby się wyłącznie muzealne unikatki. Oto grupa kafli — o której już wspominałem na początku — z izby Alojzego Golana w Spręcewie (pow. Olsztyn). Oto w szczytniejskiej wsi Tylikowo sypie się w gruzi stojący w komórcie u starego Frasy piec z 1838 roku. Oto w innej wiosce tego powiatu, w Narajtach, tkwi w piecu kuchennym niejakiemu Butlera kilka malowanych kafli, które pod wpływem żaru lada dzień mogą prysnąć w kawałki. Właściciele tych wszystkich zabytkowych kafli chętnie pozbędą się ich pod warunkiem, że otrzymają wzajemnie odpowiednią ilość nowych. Na to się jednakże wcale nie zanosilo wtedy gdy prowadziliśmy poszukiwania w Olsztyńskim. Kto wie, może już dziś większość ze znalezionych przez nas kaflowych obrazków nie istnieje

je? Na szczęście przerysowaliśmy je i zachowały się przynajmniej ich kopie.

### SZUKAJCIE!

Alc co z resztą? Co będzie z tymi, do których nie zdążyliśmy dotrzeć i o których istnieniu nadal nie wiemy? A jeśli nawet wiemy, to nie mają środków na ich azybkie zabezpieczenie lub po prostu skopowanie. Opowiadano nam, że np. we wsi Kozary pod Kętrzyńnem ktoś podobno takie kafle widział. Ktoś inny spotykał się z nimi w Dębnie pod Ostródą. Jeszcze inni radzili ich szukać pod Olsztynem w Barczewku, Mondkach i Gedajtach... a nawet w samym Braniewie „u jednokreślonego cieśli w domu”. Jak widać poszukiwania ludowych kafli przypominają pracę detektywów ze Scotland Yardu. Ale trud ten opłaca się wielokrotnie bo każdy dawny kafelek to jak gdyby jeszcze jeden znaleziony obraz ludowej galerii, o której wiemy tak niewiele i której grozi zagłada.

LESZER DZIEGIEL



## SZACHULCOWA STARUSZKA

TADEUSZ CHRZANOWSKI

Mieszka we wsi Brzezinka w powiecie kluczborskim na Opolszczyźnie. W tej samej wsi w której znajduje się jeden z najpiękniejszych drewnianych kościołów śląskich. Ma równo sto lat, urodziła się bowiem w roku 1857 o czym dowodzi niezbitie napis na nadprożu. Bo staruszka o której mówię jest chałą wiejską, jedną a nie liczącą na tym terenie chał konstrukcji szachulcowej (a znaczy to, że jej drewnianą konstrukcję wypełniono murem). Jest pobielona, więc jej „szachulcowość” widoczna jest najwyraźniej w szczycie zakończonym naczółkiem szalowanym listwami.

Naprzeciw naszej staruszki siedzi druga — maleńka chatka drewniana konstrukcji zrębowej już tylko ze szczytem z szachulca. Ze jest rówieśnicą, a kto wie czy nie starszą krewną pierwszą świadczą wejście zamknięte półkolistą, utworzone z mieczowań.

I wreszcie dziadzio, a raczej pradiadzio. — lamus, stojący wśród nowszych zabudowań obcej. Drewniany, stawiany na zrab, z podobnie ukształtowanym półkolistym wejściem (tyle że dziś po mieczowaniach pozostały ślady), nad którym napis głosi że ów skromny budynek wniesiono w roku 1759.

Niestety ani babcia ani pradiadzio nie wiedzą się dobrze: na babci dach się wali, a na pradiadku nie ma go już w ogóle. Wiem, że na Opolszczyźnie wiele tego rodzaju zabytków chyli się do upadku, że konserwator nie może wszystkich uratować, ale — wobec ich wieku, wobec charakterystycznej konstrukcji — może warto przynajmniej staruszków z Brzezinki pomierzyć, by przetrwała po nich przynajmniej dokumentacja a nie tylko utłomiona pamięć.



Drewniana chała z szachulcowym szczytem we wsi Brzezinka, powiat kluczborski. Fot. Tadeusz Chrzanowski. Poniżej: napis nad wejściem do lamusa w Brzezince.

9 z Junij A0 1759

# C U D Z E CHWALICIE...

do wiadomości  
pana (g) z „Turysty”

„Turysta” w nrze 9 zamieszcza w rubryce kroniki zagranicznej notatkę informującą o imprezach turystyczno-krajoznawczych młodzieży w ZSRR. Przy czym zaznacza, że „...ich formy pracy są bardzo zbliżone do form stosowanych w naszych Szkolnych Kółach Turystyczno-Krajoznawczych. Istotna różnica polega na tym, że zadania dla letnich wypraw wskazwane są drużynom nie przez nauczycieli, lecz przez instytuty naukowo-hadawcze... np. zbieranie materiałów etnograficznych...”. Przy tym podaje, że te formy pracy stosuje młodzież ZSRR od lat 11.

Otóż twierdzenie autora notatki (g) jest nieścisłe i oparte na nieznanym programie, metodach pracy i wynikach poszukiwań naszych kół krajoznawczych, które pracowały do roku 1950 a teraz wznawiają swą pracę jako szkolne koła krajoznawczo-turystyczne. Nasze koła krajoznawcze młodzieży szkolnej nie od lat 11, ale od roku 1919 współpracują z instytutami naukowymi na podstawie kwestionariuszy dostarczanych przez naszych naukowców. Już w roku 1927 (a więc trzydzieści lat temu!) ukazała się w materiałach etnograficznych Polskiej Akademii Umiejętności praca uczniów Seminarium Nauczycielskiego w Tomaszowie Mazowieckim pt. „Zamki drewniane przy drzwiach” opracowana na podstawie kwestionariusza prof. Adama Fiszer. Komisja Kół Krajoznawczych Młodzieży Szkolnej, która kierowała pracami kół młodzieży wydała około trzydziestu kwestionariuszy, odpowiedziami na które wypełnione są 24 roczniki „Orlego Lotu”, z których korzystają pracownicy naukowcy. A więc nie 11 lat ale prawie, bez mała czterdzieści współpracują nasze koła krajoznawcze z instytutami naukowymi. Szkoda, że pan (g) przed napisaniem tej notatki nie zapoznał się z moim artykułem umieszczonym w 5-tym zeszytzie „Turysty” na stronie 7.

LEOPOLD WĘGRZYNOWICZ

JUŻ 140 Szkolnych Kół Krajoznawczo-Turystycznych istnieje na terenie woj. krakowskiego. Praca tych kół była tematem obrad Prezydium Wojewódzkiej Rady Metodycznej. Posiedzenie to odbyło się 19 września 1957 w Krakowie pod przewodnictwem pioniera krajoznawstwa młodzieżowego prof. Leopolda Węgrzynowicza. Na wniosek kierownika Szkolnego Wojew. Ośrodka Krajoznawczo-Turystycznego, dra Józefa Staśko opracowano i zaakceptowano ramowy plan pracy Rady na najbliższy okres.

\*

O TYM jak pogłębić działalność naukową młodzieżowych kół krajoznawczych dyskutowano na ogólnopolskiej konferencji kierowników Szkolnych Wojewódzkich Ośrodków Krajoznawczo-Turystycznych. Odbyła się ona w Kielcach, w dniach 23, 24 i 25 września br. Na szczególną uwagę zasługiwały projekty kwestionariuszy do badań terenowych.



TEKST: M. LECHOWSKA  
ZDJĘCIA: W. PLEWIŃSKI



Nowoczesny turysta dążąc do zapewnienia sobie na wycieczce maksimum wygody nie rezygnuje bynajmniej z estetycznego i schludnego wyglądu. To też jedną z charakterystycznych cech właściwie pojętej mody turystycznej jest połączenie praktyczności z elegancją. Oto przykład ubioru na jesieńną wycieczkę pieszą:

**DLA KOBIET:** sweter i długie wąskie spodnie, które modernizujemy podwijając pod kolana. Takie „trzyćwiertniowe” spodnie są przede wszystkim wygodne; umożliwiają swobodniejsze poruszanie się. Na głowie — płócienna chustka w pasy (modne!), na nogach — wi-bramy lub przynajmniej „pionierki”. Wełniane skarpety do kolan.

**DLA MĘŻCZYZN:** gruba (ciepła) koszula wełniana lub bajowa (sweter w plecaku) i krótkie wąskie pumpy. Sznurowanie pump pozwala na regulowanie szerokości zakończenia nogawek, zależnie od grubości skarpet. Skarpety: wełniane, mogą być w barwną kratę. Buty: tzw. wi-bramy, o grubej, karbowanej podeszwie gumowej. (okładka i zdjęcie 1).

Pionierki i wi-bramy są w zasadzie jedynym obuwiem nadającym się na wycieczki, nawet krótkie, jednodniowe. Popularne trampki — nadają się na treningi sportowe lub na letnie spacer. Na wycieczkach trampki nie chronią nogi przed wilgocią i przed zimnem, ich gumowa podeszwa słabo profilowana ślizga się po trawie i błocie. Podczas dłuższych marszów trampki odparzają stopy.

Podczas deszczu wdziewamy krótkie płaszcze typu „anorak” (zdjęcie 2) uszyte z cienkiego i lekkiego gumowanego batystu. Z przodu zamek błyskawiczny. Ten absolutnie nieprzemakalny płaszcz w zupełności zastępuje płócienne skafandry, które mimo impregnowania na ulewnym deszczu przemakają. Anorak jako krótszy i węższy od typowego płaszcza igielitowego, jest dzięki temu wygodniejszy. Batyst nie sztywnieje od zimna w przeciwieństwie do igielitu; jest także od niego trwalszy.

Ważnym szczegółem dobrego anoraka jest właściwe wszycie kaptura. (zdjęcie 3).

Zywność na drogę i ekwipunek ładujemy do plecaków (tylko ze stelażami metalowymi! — zdjęcie 4). Są one wygodniejsze i pojemniejsze od tornistrów, a jeszcze bardziej od... teczek i siatek. Stelaż odpowiednio rozkłada na plecach ciężar i utrzymuje odstęp między plecami a powierzchnią worka; co zapobiega poceniu się.

W numerze grudniowym podamy przykłady ubioru i ekwipunku zimowego.



## MADONNA

Zbliżając się do niepozornej wiejskiej kapliczki w Suszczu (pow. Pszczyzna), bynajmniej nie spodziewałem się, że kryje ona cenny, nieznany zabytek rzeźby. Nawet jeszcze na pierwszy rzut oka, duży drewniany posąg Matki Boskiej, banalnie polichromowany, częściowo zasłonięty prymitywnym, ołtarzykiem i kwiatami — nie zdradzał swego właściwego charakteru. Ale po odsłonięciu i wydobyciu spośród ołtarzających przedmiotów i ozdób ujawniła się w całej okazałości delikatna i wytworna rzeźba średniowieczna.<sup>1</sup>

Madonna w swobodnym, pełnym wdzięku lekkim przegięciu, podtrzymując na lewym ramieniu Dzieciątka całkowicie ubraną, drugą ręką podaje Mu jabłko. Twarz Marii, awrócona nieco w stronę Chrystusa, konwencjonalnie piękna, niestety zepsuta w swym wyrazie nieudolnym przemalowaniem. Prawa ręka, szczególnie dobrze modelowana i rzeźbiona, stanowi cenną i udaną partię rzeźby. Wytworne i subtelne traktowanie draperii, przechodzących swobodnie z form wybitnie płaskich, reliefowych, poprzez głębokie cięcia do pełnoplastycznej rzeźby — wskazuje na dłuto dobrego mistrza. Kompozycja postaci, przegiętej w lekkim kontaspocie, typowo potraktowane Dzieciątka, charakterystyczny układ draperii i wiele konsekwentnie opracowanych szczegółów, pozwalają rzeźbę stosunkowo ściśle określić pod względem odmiany stylu — i zdatować na trzecią ćwierć wieku XIV.

Ponadto Madonna z Suszcza posiada szczególne znaczenie naukowe. W historii sztuki pewne tereny tworzą mniej lub więcej zamknięte kręgi, uwarunkowane względami historycznymi, wpływami artystycznymi czy geopolitycznymi, w obrębie których można prześledzić rozwój twórczości artystycznej w poszczególnych gałęziach sztuki w ciągu wieków. Najwybitniejsze, autoryzowane czy dławione, najbardziej charakterystyczne i „klasyczne” dzieła stwarzają „podstawowe” ramy i stają się fundamentem systematyki przedmiotu, a szczególnie dla nauki zostrzenia.

Takim tematem, w zasadzie dość konkretnie wyodrębnionym terytorialnie i kilkakrotnie starannie naukowo opracowanym, jest plastyka gotycka na Górnym Śląsku. Za najważniejsze zabytki rzeźby drewnianej uważane są dwa posągi Matki Boskiej siedzącej na tronie z ok. poł. w. XIV: z Młosteczka Śląskiego i Sadowa (ta ostatnia od dawna zaginiona), przypisywane do tw. „kręgu Madonn na lwie”. Chronologicznie po nich następują na Górnym Śląsku już zabytki z początku XV wieku należące do tw. „okresu pięknych Madonn”. — Rzeźba z Suszcza poprzedza ją grupę, stanowiąc odosobniony przykład zabytku z znacznie wcześniejszego okresu, tym samym zajmując ważną pozycję w systematyce przedmiotu.

Madonna z Suszcza ma jednak pokrewne sobie zabytki — ale na terenie Małopolski. Jak się wydaje, jest ona najbardziej zbliżona (choć nie bez pewnych różnic) do znanej rzeźby z Kaplicy Szwedzkiej w Nowym Sączu, uważanej za „klasycę swego typu”, a poprzez nią wiąże się z grupą, występującą na terenie Sądeckim i Spiszem. Stylistyczne pokrewieństwo wykarują także współczesne rzeźby z Lipinek (Gorlickie) i Prandocina (obecnie w Krakowie). Te ostatnie i im podobne rzeźby Marii z Dzieciątkiem ikonograficznie przedstawiają „Marię-Królową” z berłem w ręce, podczas gdy Maria z Suszcza (a także wspomniana grupa sądecka) — ma charakter bardziej „intymny”, macierzyński.

Nie będzie nas jednak dziwić pokrewieństwo wspomnianych rzeźb. Przecież do r. 1822 te tereny Śląska należały do Diecezji Krakowskiej, a związki artystyczne Małopolski, Spisza i Śląska w średniowieczu są dawno stwierdzone. Odkrycia rzeźby w Suszczu jest ważnym przyszykiem i do tego zagadnienia.

Marian Kordecki



## SKANSEN NA KURPIOWSZCZYNIE

### DOKOŃCZENIE ZE STR. 32

prować także Chętnik. Wybuch wojny 1939 r. pokrzyżował te zamiary. Już w pierwszych dniach wojny Muzeum w Nowogrodzie uległo zniszczeniu. Pozostały z niego tylko dwie sędziwe barchie: dębowa i sosnowa.

Przykład Kurpiowszczyzny świadczy o tym, jak wiele może zdziałać mimo zniszczeń wojennych i trudności materialnych ofiarna praca działaczy regionalnych prowadzona przez wiele lat. Tego rodzaju regionalistów może poza-źródłości Kurpiowszczyźnie niejednen region o niemiłej ciekawych tradycjach

kultury ludowej, mimo to często zupełnie nieznanych szerszemu ogółowi społeczeństwa.

Próba wskrzeszenia tradycji „kurpiowskiego skansenu” był dział Rejonowej Wystawy Rolniczej w Łomży zatytułowany „Dawne rolnictwo na Kurpiach”. Zorganizowana przez kierowniczkę muzeum w Łomży Jadwigę Chętnikową, przy finansowym poparciu Muzeum Narodowego w Warszawie, wystawa ta pokazała dawne metody uprawy roli. W dawnych brogach zgromadzono zabytkowe drewniane narzędzia

rolnicze oraz przyrządy gospodarki domowej a wśród nich żarna do mielenia zboża różnych epok i typów. Stal tu także drewniany konny kierat do młynków, sieczkarni i młocarni. Na kilku zagonach rosły rośliny jadalne, bodowane ongiś na Kurpiowszczyźnie, a dziś zarzucone.

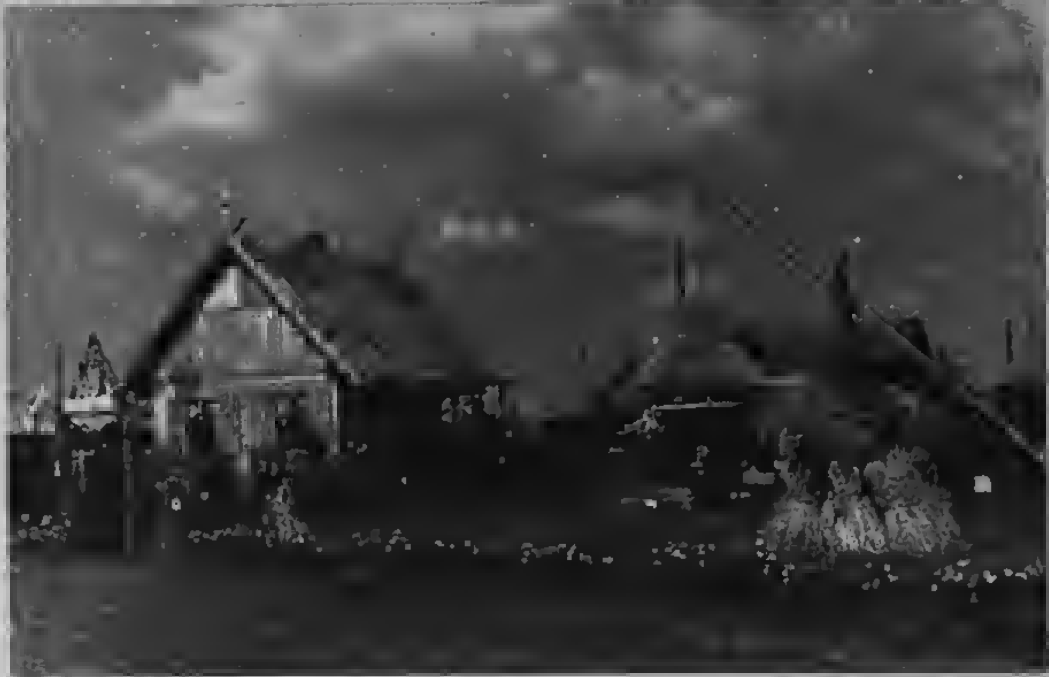
Głównym jednak punktem zainteresowania zwiedzających wystawę była kurpiowska chata, zbudowana przez miejscowych majstrów według dawnych wzorów. Wnętrze, na które składały się tradycyjne kurpiowskie sprzęty domowe, ozdobiono tkaninami, wycinankami, ceramiką, figurą Chrystusa Frasobliwego uzupełniono manekinami w barwnych strojach.

U góry: zagroda z południowej Kurpiowszczyzny. Fot. T. Chrzanowski. Poniżej: dawny drewniany kierat jednokonny, częściowo zrekonstruowany, na Wystawie Rolniczej w Łomży. Obok: ozdobny nadokiennik z chałupy południowo-kurpiowskiej. Fot. T. Chrzanowski. Na stronie następnej: fragment kurpiowskiej zagrody, pokazanej na Wystawie Rolniczej w Łomży w roku 1956.



# SKANSEN NA KURPIOWSZCZYŹNIE

NATALIA CZECHOWICZOWA



**P**od koniec XIX w. powstał w Szwecji nowy rodzaj muzealnictwa. Stworzył go Artur Hazelius, miłośnik kultury ludowej, której zabytki ginące i niszczone postanowił ratować i chronić. Zadaniu temu poświęcił pracę swego życia, otwierając nową dziedzinę rozwoju etnografii i przeobrażając metody pokazu zbiorów.

Z nużącego szablonu gablotek i szaf z etykietkami przeniósł zabytki kultury i sztuki ludowej w atmosferę życia codziennego, do zabytkowych, starodawnych domostw, przedstawiających różne epoki rozwoju szwedzkiej architektury ludowej. Zostały one rozmieszczone w krajobrazie pięknej przyrody wśród lasów, łąk i pól, na 30 hektarowym terenie wyspy Djurgården w Sztokholmie. Powstało osiedle muzealne na wolnym powietrzu, pod otwartym niebem, udostępnione dla publiczności w 1891 r. Nazwano je „Skansen”, co po szwedzku znaczy szanice, od znajdującego się tam dawnego obronnego szlaku. Osiedle muzealne stało się symbolem obrony szwedzkiej kultury ludowej.

Nazwa ta przyjęła się nie tylko w państwach skandynawskich, gdzie idea skansenowska rozwinęła się imponująco, lecz i w innych krajach, w których powstawały muzea tego typu.

Wieści o nowatorskich prądach dochodziły i do Polski, gdzie miłośnicy ludoznawstwa tworzyli nowe formy etnograficznej wystawy według idei Hazeliusa.

Na Kurpiach takim badaczem zabytków kultury ludu puszczańskieg, był Adam Chętnik, Kurp z Nowogrodu nad Narwią. Widząc, jak niszcze i ginie bezpowrotnie okazy przyrody, kultury i sztuki kurpiowskiej rozpoczął od wczesnej młodości ich gromadzenie.

Od 1919 r. do wybuchu drugiej wojny światowej w 1939 r. prowadził Chętnik pełną wyśilków pracę nad tworzeniem osiedla muzealnego pod otwartym niebem. Tę osiedla były wody Narwi u ujścia do niej Pisy i rozległy widok z wysokiego brzegu nad rzeką na kurpiowskie lasy. Tutaj na ćwierćhektarowym placu, zakupionym z funduszy żony Chętnika — Zofii, rosło powoli

Kurpiowsko-Nadnarwiańskie Muzeum na wolnym powietrzu.

Dwa drewniane budynki, w których mieściły się zbiory działów przyrodniczego i etnograficznego, utrzymane były w charakterze dawnego budownictwa kurpiowskiego. Cechy te posiadały również dwie bramy: „Górna” i „Dolna”, wiodące na teren muzeum.

Potężna, 500 letnia barć sosnowa, której sprowadzenie połączone było z niemałym trudem i kosztem, mówiła o prastarym drzewostanie i gospodarstwie bartniczym. Mówiły o niej nle różnych typów i cała dawna pasieka, stojąca w ogrodzie. Rozrzucone w nim były przydrożne kapliczki i figury, a w czterech budynkach-schronach gromadzono okazy drzew-olbrzymów, starodawne narzędzia rolnicze i przybory łowieckie. Bogaty sprzęt rybactwa miał być pokazany w przygotowanym osobnym dziale.

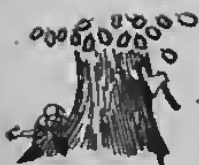
Zamierzeniem Chętnika było przedstawienie całokształtu życia, pracy i kultury kurpiowskiej. Najbardziej interesował się on budownictwem ludowym. W kurpiowskiej chacie stojącej na

terenie skansenu zamierzał ponadto zorganizować wytwórczość regionalną na warsztatach: tkackim, snycerskim i burztyńskim. Chciał przedstawić również duży drewniany model jednego z zabytkowych kościołów miejscowych z wyposażeniem ikonograficznym. Oba zamiary, odkładane dla braku środków, nie zostały niestety urzeczywistnione.

W r. 1927 dokonane zostało uroczyste otwarcie Muzeum Kurpiowsko-Nadnarwiańskiego. Założyciele jego, Adam i Zofia Chętnikowie, przekazali je Polskiemu Towarzystwu Krajoznawczemu bez zwrotu kosztów za plac i ekspozycję, jako fundację dla polskiej nauki i kultury. Kierownikiem pozostał Adam Chętnik, kustosz — Zofia Chętnikowa.

W ostatnich latach przed wojną 1939 r. projektowano stworzyć w parku miejskim w Ostrołęce Kurpiowskie Osiedle Muzealne typu skansenowskiego, włączając do niego ekspozycję z Muzeum w Nowogrodzie. Nową placówkę miał

DOKONCZENIE STR. 31



Najstarszym pomnikiem przyrody na Ziemi Lubuskiej jest potężny dąb „Chrobry” stojący koło wsi Piotrowice. Pod tym dębem jak podaje legenda spoczywał Bolesław Chrobry podczas polowania w puszczy. Przyrodnicy określają wiek „Chrobrego” na ponad 1000 lat. Obwód dębu-olbrzyma równa się 9,50 m.

\*

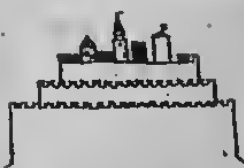
„Tursko maolo” to stara turecka dzielnica Wądrogu. Tu przed sklepami siedzą w kucki mężczyźni w czerwonych szalach. Uliczkami przechodzą karawany jucznych osłów. A tuż za rogiem nowoczesne

gmochy. Otrzymują afisze reklamujące ostatnie amerykańskie filmy, miejscowe „corsa” ca wieczór staje się rewiią paryskich modeli... O swej wędrówce przez Macedonię opowiada w najbliższym numerze ZIEMI Zbigniew Gołąb.



Koło Myślenic znajdują się ukryte w lesie szczątki starodawnej baszty. Według zdonia archeologów krakowskich — baszta została wzniesiona ok. XIII w. Grubość murów wynosi około 4 m. Jak głosi podanie baszta została zbudowana w celu sprawowania kontroli nad drogami handlowymi prze-

chodzącymi przez Myślenice.



Opasane nową, podwójną linią murów obronnych i fosami, najezdzone trzydziestoma basztami w pasie wewnętrznym i trzecim — pasie zewnętrznym — miasto było warownią. Przyszła wojna, do której tak starannie przygotowana miasto. Długa wojna trzydziestoletnia. Co stało się dalej, dowiecie się za miesiąc.

\*

Na Kaszubach w miejscowości Wiela odsłonięto pomnik Jana Hieronima Derdowskiego — pisarza i poety Ziemi Kaszubskiej.

W nadleśnictwie Nutek pow. Siemiatyże strażnicy łowieccy zawatyli stadko łosi liczące 8 sztuk. Przyrodnicy sądzą, że prawdopodobnie przywędrowały one tu z odległego ok. 300 km. niedługo lasach Rajgrodzkich, albo z części Puszczy Białowiejskiej położonej po radzieckiej stronie.



W Toruniu w trakcie prac nad pogłębieniem koryta Wisły wydobyto z dna rzeki łupy i kule armatnie które według przypuszczeń archeologów toruńskich pochodzą z okresu najazdu szwedzkiego. Są to prawdopodobnie szczątki szwedzkiego okrętu wojennego.



Jaki głos wydaje świnia kiedy jest głodna? Jaki głos wydaje kura gdy zniesie jajko? — oto pytania z kwestionariusza do badań słownictwa gwornego, rozсланego do młodzieżowych kół krajoznawczych. Piszemy o tym w listopadowym numerze ZIEMI.

\*

W woj. olsztyńskim na torfowisku k. Frombarka (pow. Broniewo) stwierdzono pierwszy wypadek wegetacji brzozy tundrowej. Wykoleń krzaka wynosi niewiele ponad 60 cm. Ponieważ w okolicy tej rosną również inne okazy flory m. i. lipa syberyjska — projektuje się założenie w rejonie Frombarka rezerwatu przyrodniczego.

Na terenie Zakopanego został powołany Związek Górski Tatrzalski. Nowe stowarzyszenie kulturalno-regionalne będzie miało na celu m. i. utrzymanie i rozwijanie wartości społeczno-kulturalnych Podhala, Spisza i Orawy, a także podniesienie poziomu materialnego i kulturalnego ludności górskiej.

\*

Nowotarski P.D.K. zorganizował ciekawą wystawę poświęconą twórczości Stanisława Ignacego Witkiewicza. Kierownictwo wystawy Witkiewiczowskiej przejął obywatel z większych miejscowości naszego kraju.

\*

Z inicjatywy Chłopskiego komitetu Społecznego w Wąsosz pow. Kłobuck rozpoczęto odbudowę zniszczonego w okresie okupacji pomnika powstańców z 1863 r.